

Andrzej Zieliński



Opowieści z Wielkiego Lasu

Pomorska Biblioteka Cyfrowa

Wydanie 2 rozszerzone

Gdańsk, maj 2013

***Źonie, Rodzinie i Przyjaciołom,
bez których nie powstałyby te
bajki, poświęcam***

Ilustracje:

- Helenka Lendzion, lat 2**
- Staś Czerepak, lat 4**
- Grześ Lendzion, lat 4**
- Tosia Rodziewicz, lat 4**
- Ania Zaleska, lat 4**
- Tomek Rodziewicz, lat 6**
- Zosia Walewska, lat 6**
- Emilia Zaleska, lat 7**
- Kuba Sobieszczyk, lat 8**
- Kinga Ossowska, lat 10**
- Max Raczkowski, lat 11**
- Marcin Żurek, lat 11**
- Julia Wołoszyk, lat 13**

Spis Bajek

ZA GÓRAMI, ZA LASAMI...	5
PRAWDZIWA BAJKA O WILKU I CZERWONYM KAPTURKU	7
BIAŁE WIELORYBY	12
BRZYDKIE KACZAŃKO	16
KAMELEON	20
KARNAWAŁ U PANI SOWY	23
WIEWIÓRKI	28
KOPCIUSZEK I ROPUSZY KRÓL	33
KRÓLOWA ELFÓW	39
KULECZKA	42
ORZEŁ I KAWKA	47
DZIEWCZYŃKA Z ZAPAŁKAMI	53
WIZYTA KRASNALI	58
PSZCZÓŁKA	64
BOBROWE ŚWIĘTO	66
GWIAZDKA W LEŚNYM ZAKĄTKU	70
KACZUSZKA	74
SYRENKA	79
NIEDŹWIEDŹ	85
URODZINY KRÓLOWEJ ELFÓW	91
PIEKŁO I NIEBO	96
DWÓCH CHIŃCZYKÓW O KOBIETACH I LOGICE ROZMYTEJ	99
KARAWANA	103
SARENKA	107
LWIĄTKO	110
WYBORY W WIELKIM LESIE	116
PRZESTROGA	122
WIELKANOC; OSTATNIA BAJKA STAREGO WILKA	126
POŻEGNANIE Z BAJKAMI, NIE TAKIE BARDZO SMUTNE, CHOĆ NIECO MELANCHOLIJNE	129

ZA GÓRAMI, ZA LASAMI...

Opowieści, których posłuchacie, może i zdarzyły się naprawdę, choć przypominają one bajki, raczej dla dorosłych, a nie dla dzieci. Zresztą Bogiem a prawdą, tych dorosłych, którzy w głębi duszy nie przestali być dziećmi. Ja sam już nie wiem, czytając je po raz kolejny, co usłyszałem, co mi się roi, a co istotnie miało miejsce... Więc dopóki pamięć jeszcze nie całkiem zmacona, snujmy te opowieści z Wielkiego Lasu, a wy, drodzy czytelnicy, posłuchajcie ich do końca... Bo te bajki są jak pączek z niespodzianką: jak nie zjesz do końca, nie dowiesz się, co kryje w środku – a przecież samo jedzenie pysznego ciasta to nieziemską frajdą!

Gdzie więc toczą się te opowieści? Wcale nie za górami, za lasami, a nawet jeśli, to zupełnie niedaleko stąd. Jeżeli stałbyś się dumnym orłem lub śmigłym jastrzębiem, i wzbiliś pod niebiosa, daleko na horyzoncie dostrzeżesz pojawiające się ogromne połacie leśnych olbrzymów. Tam właśnie rozpoczyna się Wilczy Bór – nieco złowroga połać puszczy rozciągającej się aż do Wielkiego Lasu. Wilczy Bór dotyka małej wioseczki, o nazwie której nikt nie pamięta, gdzie zamieszkuje cała gromada ludzi, młodych i starych, wesołych i smutnych, z wielu stron świata, snadź skołatani woleli schronić się tu, między dzikimi uroczyskami.

Kiedy przybywasz z głębi kraju, najpierw miniesz rozstajny krzyż, następnie zaś połąną drogą podążysz wzdłuż rzędów niewielu skromnych lub całkiem okazałych chat i domków – o tym najwspanialszym możesz przeczytać dalej, jeżeli jesteś ciekaw, dlaczego to jeden z nich tak pyszni się wśród innych. Nie przypatruj się mieszkańcom, oni tego nie lubią aż tak bardzo, to ludzie dumni, acz przyjaźni. Nie martw się jednak: na stronach tego zbioru przeczytasz tylko o kilku z nich, znacznie więcej będzie o zwierzętach...

Kiedy przejdiesz już całą wieś i przekroczysz strugę, zwaną tutaj Czarnym Potokiem, wkraczasz w nieznaną świat Wielkiego Lasu i jego przedsiółka, o którym już powiedziałem - Wilczego Boru. Zwany jest tak, bo istotnie żyje tu całe stado wilków, choć liczy ono niewiele dusz – cywilizacja,

bo nawet nie myśliwi, dawno spowodowała brak chęci do przetrwania tych groźnych, a przecież jakże mądrych zwierząt. O nich to będzie przede wszystkim mowa, bo też z nimi spoufalilem się najbardziej.

Nie są to jednak zwykłe wilki, a zresztą zdradzę Wam – zwykłych wilków po prostu nie ma. Ani zwykłych żubrów, sarenek i jelenków, sów i puchaczy, czy niedźwiedzi. Wszystkie one są podobne ludziom, wszystkie one żyją i czują, a nawet wszystkie one potrafią porozumiewać się między sobą, a także z ludźmi.

Rzadko jednak tego chcą i stąd wielu z nas wydaje się, że to ludzie są panami stworzeń. Nic bardziej mylnego! Kiedy spotkają się różne gatunki zwierząt, także ludzie, którzy choć nie pozbawieni wad, skłonni są do życia w zgodzie, wtedy to okazuje się, że świat jest zupełnie inny. I te bajki, które czytacie, opowiedzieli mi nie ludzie, a jeden z odmiennych mieszkańców tamtych okolic, zwany Starym Wilkiem.

Ale znajdziecie tu całe mnóstwo zwierząt, nie tylko te, które wymyślił dobry Bóg, ale także stwory istniejące, zdawałoby się, jedynie w naszej wyobraźni i w baśniach opowiadanych wnuczętom (wtedy, gdy jeszcze nie istniał Internet i telewizja, i wnukowie chętnie słuchali bają starszych ludzi). Także je spotkacie na kartach tej książki.

Dosyć jednak na tym, zagłębmy się w nieprzebyte zakątki Wielkiego Lasu. Może spotkacie tam kogoś znajomego ?

I jeszcze jedno: zapewne wielu z Was będzie chciało napotkać siebie, i może tak istotnie się stanie. Jednakże w nierzadkich także przypadkach podobieństwo będzie czysto przypadkowe, więc nie miejcie pretensji do autora, który zaledwie spisywał te opowiadania.

Miłej lektury !

PRAWDZIWA BAJKA O WILKU I CZERWONYM KAPTURKU

Przed wielu, wielu laty żył, był sobie groźny wilk. Choć wilki wbrew powszechnym opiniom wcale nie są krwiożercze, chętnie też co sprytniejsze z nich zaprzyjaźniają się z ludźmi (a ci nie wiedząc dlaczego wymyślili dla nich nazwę psy), jego ulubioną rozrywką było pożeranie Kapturków. Wiele z innych wilków miało to za złe odszczepieńcowi, ale nikt, nawet Stary Wilk, którego wielce szanowano i słuchano jego opinii, nawet on nie potrafił wyperswadować swemu młodszemu, ale nie najmłodszemu pobratymcowi niestosowności jego postępowania. Choć zwracał uwagę, że młodzież patrzy, a ponadto, co przystoi kawalerowi, to jednak nie żonatemu (a wilki z zasady nie pozostają samotne, chyba że opuści na zawsze ich wierna towarzyszka). Może dlatego do krwiożerczego zwierzaka przyłgnęła nazwa Złego Wilka, choć Bogiem a prawdą nie był on wcale taki zły.

Bo gdybyż to było to takie straszne! Wilk potrafił być czarujący, tak bardzo, że kapturki białe i różowe, zielone i fioletowe często dawały pożerać się z lubością. Zdarzało się, że i te, które zostały zaledwie nadgryzione, po latach żałowały swego tchórzostwa i mówiły to wilkowi: ale ich walory smakowe nie były takie, jak kiedyś, i wilk nie miał już ochoty na ucztę.

Czas jednak przemijał nieubłaganie i wilk starzał się coraz bardziej. Zaczęły mu robić się zmarszczki na czole, psuły się zęby, miał poważne trudności w doganianiu psotnych kapturków niebieskich i pomarańczowych. Stwierdził więc, że czas się ustatkować, co najwyżej posmakować niekiedy swojej równie postarzałej, ale wciąż ponętnej wilczycy, wciąż cierpliwie znoszącej jego wyskoki. Aż tu nagle...

Pewnego razu wilk obserwował, co dzieje się w pobliskiej wsi. Z leżącej nieopodal chałupy wyszła mała dziewczynka. Przy nieostrożnym ruchu zsunął się jej ogromny kożuch i oczom wilka ukazała się śliczna Czerwony Kapturek. Była tak piękna, że wilk oszalał. Spoważniał jednak na tyle, że stwierdził: „Nie, Czerwony Kapturek jest zbyt młoda, aby ją pożreć; mogę dostać niestrawności. Może jest smakowita, ale trzeba mieć młode zęby. Chyba poprzestanę na starej wilczycy albo moich nieco młodszych przyjaciółkach”.



...oczom wilka ukazała się śliczna dziewczynka o imieniu Czerwony Kapturek. Była tak piękna, że wilk oszalał...

Rys. Zosia Walewska, lat 6

Ale Czerwony Kapturek odważnie zerknęła na wilka, podeszła i zapytała: „Wilku, jesteś taki smutny: dlaczego?”. Wilk odparł: „Bo jestem stary i nikt mnie nie lubi”. „To nieprawda” – odrzekła Czerwony Kapturek – „ja cię lubię i to bardzo”.

Czerwony Kapturek poszła do swojej chatki, a wilk myślał, czy to prawda. Był po raz pierwszy w życiu zbyt nieśmiały, aby zapytać wprost, ale od czego miał telefon komórkowy i internet? Pytał więc i myślał, myślał i pytał, nie mogąc rozstrzygnąć, czy istota tak piękna i młoda, jak Czerwony Kapturek, mogła zwrócić na niego uwagę.

Mijały lata i zimy, a wilk od tej chwili pierwszego spotkania marzył o tym, aby pożreć Czerwonego Kapturka. Czegóż nie robił, aby to osiągnąć! Bo musicie wiedzieć, że wilk nigdy nie pożerał tych Kapturków, które tego nie chciały z całego serca. Znosił jej rosę zbieraną w świetle księżyca, wykradał ptasie mleko, zbierał słoneczne promienie i zamykał w omszałe butelki, aby świeciły jej nocą.

Wszystko na nic. Czerwony Kapturek zdawała się ulegać czarom podstarzałego wilka, kiedy była od niego z daleka, i zapewniała go, że jest gotowa się poddać jego urokowi. Ale kiedy byli razem, zapominała o wszystkim i traktowała go, jakby nic takiego nie padło. Z rzadka wytarosiła jego kudły, chwyciła go delikatnie za łapę, spojrzała głęboko w oczy, musnęła ustami jego wstrętne pysk.

Mijały lata. Zły wilk wciąż próbował, usychał z tęsknoty, wiądl z oczekiwania, zdając się nie postrzegać, że Czerwony Kapturek coraz mniej za nim tęskni, że coraz bardziej przedkłada innych, że coraz mniej zapewnia go o swej przyjaźni. Coraz rzadsze były ich rozmowy, coraz częściej Czerwony Kapturek unikała spotkań mówiąc o tym, że jest bardzo zajęta pracą przy swojej zgrzybiałej babci, musi przygotować obiad dla sióstr lub nazbierać chrust na zimę. Coraz bardziej obojętne, krótsze i rzadsze stały się nawet jej liściki. Nic, wydawało się, nie uleczy starego głupca; powiadają bowiem w sosnowym lesie, gdzie mieszkał wilk, iż od młodzieńczego szaleństwa głupsze jest tylko starcze szaleństwo.

Pewnego słotnego październikowego dnia jednak, kiedy wilk wracał do domu z głową zaprzątniętą myślami o prześlicznym Czerwonym Kapturku, nagle ktoś trzasnął go w głowę sosnowym konarem, aż zobaczył wszystkie gwiazdy. Odwrócił się i zobaczył olbrzymiego zwierzaka, który powiedział:

„Jestem twoim prapradziadkiem, który zapoczątkował wielkość naszego rodu. My, twoi przodkowie, zebrani w niebiańskim lesie, jesteśmy głęboko zaniepokojeni, że jeden z naszej rodziny zwariował, co się nigdy nie zdarzyło. Owszem, pamiętamy przypadki, kiedy piękne Kapturki wariowały na nasz widok, ale nie odwrotnie! Postanowiliśmy wyleczyć cię z tego, a to początek kuracji.

Stary głupcze! Spójrz w lustro i nie wierz, kiedy ktoś mówi ci co innego, niż widzisz. Jesteś obmierzłym zgrzybiałym wilkiem, który może co najwyżej starać się pożreć podobne sobie podstarzałe kapturki. Wara ci od świata młodości, on już się skończył dla ciebie w tym wcieleniu. Jak będziesz grzeczny i pobędziesz u nas czas jakiś, może pozwolimy ci wrócić na ziemię i jeszcze raz posmakować tego, co tak lubieś. Ale nie teraz!

Co gorzej jednak, nie zrozumiałeś, że małe niewinne dziewczynki po prostu boją się zostać pożarte przez wstrętnego wilka. Dopiero, kiedy wyrastają na pełne uroku kobiety, niektóre z nich mogą cenić bardziej chwilę rozkoszy z krwiożerczym wilkiem od życia bezpiecznego i spokojnego, choć pozbawionego tego, co jest sensem trwania naszego rodu – odrobiny szaleństwa. Ale i szaleństwo ma swoje granice, które ty przekraczasz. Nie wiesz zapewne, że nie wszystkie Kapturki wyrastają na dojrzałe kobiety i nie wszystkie dojrzałe kobiety muszą być szalone.

Co najgorsze zapewne, to twoje zapomnienie, że tak naprawdę my, wilki, opiekujemy się małymi dziewczynkami, a pożeramy je dopiero, kiedy staną się do tego przygotowane i chętne, kiedy przestaną być dziećmi. Nikt z nas nie może skrzywdzić niewinnego dziecka, niezależnie od tego, w jakim jest wieku”.

Co powiedziawszy huknął jeszcze raz w łeb wilka tak, aż ten nakrył się kopytami. Wiadomo bowiem, że nawet wilki leczą gripę witaminą C, ale z szaleństwa uzdrowić może jedynie ostra kuracja wstrząsowa.

Wilki wrócił do domu, wyłączył komórkę, wyrzucił telefon, trzasnął siekierą w komputer i położył się do łóżka. Leżał w nim trzy dni i trzy noce, a nie przeszkadzała mu w tym nawet jego niesłychanie łagodna małżonka, widząca, co się z nim dzieje; albowiem to ona wezwała po kryjomu na pomoc przodków.

Po trzech dniach wilk wstał i wrócił do swoich spacerów. Czerwony Kapturek nie zauważyła nawet jego odmiany, albowiem wilk był zawsze szalenie dyskretny. Bawiła się z innymi tak jak z nim, rozmawiała z nim tak często jak z innymi. Niekiedy tylko, gdy było jej smutno na sercu, przychodziła do niego po radę i pomoc, i były to najjaśniejsze momenty w egzystencji tego dziwnego, krwiożerczego, a przecież nie pozbawionego serca stworzenia. Wilk był jednak już uleczony z tej dziwnej choroby, która wydawała się dotąd pojawiać jedynie w rodzie ludzkim, i nie myślał już o pożarciu Czerwonego Kapturek; wydawał się być taki, jak przed laty, zanim spotkał ją po raz pierwszy.

Minęły lata, a tymczasem Czerwony Kapturek wyrosła na piękną, ale wciąż niewinnie wyglądającą, choć dojrzałą i zmysłową kobietę. Przyszedł

czas, kiedy wybrała sobie męża, a później w ich domu we wsi pojawiła się gromadka dzieci, a jeszcze później – wnucząt. Wilk stał się znów szczęśliwym człowiekiem mogąc jej przynieść a to chrustu na zimę, a to garnce miodu, a to nowe trzewiczki ozdobione koralami jarzębiny, a to suknię tkaną z polnych traw.

Nawet jednak w sosnowym borze wilki i kapturki, choć żyją ponad tysiąc lat, nie jest to przecież wieczność. Pewnego dnia, kiedy odeszło już wiele zwierząt i ludzi, aby przechadzać się po niebiańskich łąkach, w tym i Zły Wilk, stara babunia o rysach wciąż przypominających Czerwonego Kapturka, opowiadała to właśnie gromadce wnucząt rozłożonych wokół jej kolan. A kiedy skończyła, zapadła cisza, aż nagle najmłodsza wnusia spytała: „Babciu, to chyba dobrze, że wstrętny zły wilk nie pożarł Cię, że nie uległaś jego czarom?”.

Babcia myślała długą chwilę, po czym odparła: „Chyba dobrze, moje dziecko. Tak kiedyś myślałam. Ale teraz nie jestem tego taka pewna. Ludzie, kapturki i wilki, są w istocie podobne: chcą przyjaźni, chcą być dobre wobec wszystkich, niekiedy potrzebują też chwil zapomnienia, ale nie zawsze jest to możliwe. Co więcej, są równie niezdecydowane, choć pewnie w to nie wierzycie. Często żałują tego, co zrobiły i ...równie często tego, co mogły, a nie zrobiły”.

I mówiąc to spojrzała w niebo, gdzie przez chwilę pośród chmur pojawił się, widoczny tylko dla niej, zarys pyska krwiożerczego - może zresztą nie aż tak - wilka rozciągniętego w tajemniczym uśmiechu...

I tak kończy się prawdziwa bajka o Czerwonym Kapturku i złym Wilku...

BIAŁE WIELORYBY

Daleko, daleko za Wilczym Borem i Wielkim Lasem, tam gdzie docierają tylko najwytrwalsi spośród ich mieszkańców, kończą się nagle nieprzebyte, wydawałoby się, knieje, świat zmienia się w mgnieniu oka. Nie zdziw się tedy, gdy nagle zbłądziwszy zobaczysz ku swojemu zdziwieniu za ostatnią leśną kępą końca nie mające przestwory wodne. To nie zatoka, nie duże jezioro, ale rozległe morze, zwane Morzem Złudzeń.

Nikt zresztą nie wie, dlaczego. Może ktoś doszedłszy tu zdziwił się widząc ogrom wody, a może oczekiwał czegoś innego. Jest to, tak czy siak, przedziwny zbiornik, gdzie obok siebie pływają wesoło najrozmaitsze zwierzaki: zgrabne delfiny, ociężałe morsy, krwiożercze orki.

Jeżeli wędrowiec miał szczęście, mógł dostrzec – rzadko, co prawda – jeszcze jedną parę precudnych morskich stworów, białych wielorybów. On, krępej postury znamionującej siłę i roztropność, bezustannie rozglądający się za swą towarzyszką i pilnujący jej wzrokiem bez chwili, rzekłbyś, wytchnienia; ona, filigranowa, skłonna do żartów, nieraz znienacka oblewająca swego towarzysza zimną wodą.

Nie były to zwyczajne wieloryby, o nie! Były to zwierzaki nie dość, że inteligentne nad wyraz (co zresztą nie zawsze zjednywało im sympatię swojego otoczenia), nie dość, że niepospolitej urody, to przy tym nader rzadkich walorów. Nie wierzycie? To posłuchajcie opowieści tych, którzy widywali je częściej.

Kiedy świeciło jesienne słońce, a nawet delikatny zefir nie mącił tafli wody, wieloryby z lubością oddawały się czytaniu. Inaczej niż wśród ludzi, tu nikt nie kpił sobie widząc na ich obliczach duże okulary i skupione miny przy studiowaniu codziennej gazetki „Zew Głębin”, wydawanej przez pewnego sprytnego olbrzymiego homara. Z rzadka tylko tę lekturę przerywały ich rozmowy:

„Czy nie sądzisz, moja droga, że nasz podwodny i wodny świat idzie w złym kierunku? Że za mało w nim poezji, tak pięknie uprawianej niegdyś przez koniki morskie i anemony? Jak dobrze, że i Ty piszesz wersy i strofy tak dźwięczne dla ucha!” – powiedział On.



...leniwie i beztrosko płynęło życie Białych Wielorybów...

Rys. Tomek Rodziewicz, lat 6

„Jesteś zbyt uprzejmy, mój drogi, nazywając te moje niezdarne próby poezją. To tylko chęć uwiecznienia w sposób, jaki lubię, tych pięknych chwil, jakie przeżywamy w naszym o wiele za krótkim życiu” – odparła Ona.

Nie była to jednak prawda, a przesadna skromność. Ona (białe wieloryby nie miały imion, wszak było ich tylko dwoje, więc nie było problemu z odróżnieniem od innych!) pisała wcale udanie, traktując swoje utwory jako dar dla przyjaciół – niezgrabnego morświna, zwalistego słonia morskiego, filuternej foczki czy zarozumiałego albatrosa – ale także coś, co stanowiło o jej osobowości. Bo czymże jest poezja, i ta piękna, i ta niezdarna? Chęcią pokazania piękna w niepowtarzalny sposób, którą jedni wyrażają malując, drudzy wyśpiewując, inni wreszcie tworząc słowo pisane.

Życie jednak nie składa się z samej poezji. Wieloryby zajmowały się więc także innymi przyziemnymi rzeczami. On częstokroć znikał (z najwyższą niechęcią, skoro oznaczało to konieczność stracenia z oczu swej towarzyszki nie tylko na kilka godzin, ale niekiedy dni, a nawet tygodni) w poszukiwaniu

nowych żerowisk lub wabiących swym urokiem lagun, ona także spędzała czas z dala od niego organizując nowe przedsięwzięcia dla dobra morskiego środowiska, a zazwyczaj namawiając swoich znajomych i nieznajomych do pomocy tym, którym zęby stępiły się, a płetwy pomarszczyły tak, iż znalezienie pokarmu stawało się nie lada problemem. Była to bowiem wielorybica niesłychanie łagodnego serca, bo choć, jak wiadomo, akurat te zwierzaki są takie z natury, ale rzadko aż do tego stopnia.

Wieloryby lubiły ogromnie życie towarzyskie. I wprawdzie ani Wilk, ani Niedźwiedź, ani Żubr, którzy odwiedzili te strony, nie byli tego świadomi, to z pewnością nie pogardziliby smacznymi kąskami serwowanymi przez Białe Wieloryby. Które z lądowych stworzeń miało okazję spróbować zakąski z tak smacznych ostryg w sosie wulkanicznym, sardeli delikatnie gotowanych w podwodnym gejzerze z dodatkiem morszczyków i odrobiną oceanicznej soli, wreszcie wybornej sałatki z pięknie zestawionych wodorostów, a to wszystko podane na wielkich muszlach, przyozdobionych koralami w najrozmaitszych barwach! Skąd wieloryb brał mocny trunek, tego nikt nie wiedział, ale starzy rybacy podejrzewali już dawno, iż ekstrawaganckie zachowanie tych ssaków i ich kuzynów delfinów musiało mieć za przyczynę nadużywanie napojów wysokokowych, jakkolwiek nieprawdopodobnie by to nie brzmiało.

Wieloryby lubiły ogromnie dalekie wycieczki. Samo w sobie to nie jest dziwne, ale przy tym zapuszczały się one na morza i oceany już nie tylko bardziej lub mniej zimne, ale na całkiem gorące wody tropików, gdzie jako żywo wielorybów nikt nie oglądał. Co więcej, byli tacy, którzy twierdzili, że uwielbiały one opalać się płynąc leniwie, ale pewnie należy to między bajki włożyć. Z drugiej jednakże strony taka postawa właściwa jest chyba także innym, zwyczajnym wielorybom, bo jak inaczej wytłumaczyć ich masowe wyleganie na plaże, jak nie chęcią opalania się? Tylko głupi ludzie mówią o masowych samobójstwach tych sympatycznych zwierzaków nie podejrzewając, iż chodzi o całkiem prozaiczną potrzebę poleżenia na gorącym piasku.

I tak leniwie i beztrosko płynęło życie białych wielorybów. Może to nieprawda, może to tylko tak wyglądało. Jeżeli jednak potrafiły one swoje troski schować do kąta, jeżeli uśmiechały się swymi ogromnymi paszczami

do całego świata, jeżeli ich dobry humor i potrzeba przyjaźni potrafiły zarazić całe otoczenie, to czy nie są to cudowne stworzenia do naśladowania przez nas, ludzi? Szkoda tylko, że białe wieloryby są tak rzadkie...

BRZYDKIE KACZĄTKO

Nieopodal Wioski, kędy zaczynały się rozstajne drogi ze starym drewnianym krzyżem po jednej, a niepozorną, wzniesioną przez wieśniaków kapliczką (wieś była bardzo religijna, czego nie można powiedzieć o zwierzakach) po drugiej stronie, rozpościerał się staw. Staw to właściwie mało powiedziane: na dobrą sprawę, było to całkiem spore jezioro, nie wiedzieć, czy powstałe w sposób naturalny wtedy, gdy Bóg lepił Ziemię, czy też z trudem i w pocie czoła wykopane przez któregoś z dawnych miłośników dzikiego i udomowionego ptactwa. Trzeba bowiem wam wiedzieć, że staw upodobały sobie nie tylko oswojone i kołyszące majestatycznie swoimi kuprami kaczki, wiecznie złe i szukające okazji do uszczyplenia gęsi, a nawet raczej stroniące od wody zielonopióre i karmazynowe potulne kury oraz ich dumni małżonkowie. Był on na tyle wielki, iż z chęcią osiadały tu wędrujące corocznie za bardziej przytulnymi krainami łyski i perkozy, kormorany i boćki. Nie one jednak rządziły Przyjacielskim Zwierciadłem, jak po cichu nazwały staw zarozumiałe czaple, wciąż oceniające w spokojnej wodzie swoją urodę, brodząc przy tym w poszukiwaniu jedzenia, wybredne i dbające o swoją figurę.

Królem Zwierciadła był łabędź. Nie miał on nazwiska (jak ludzie) ani przezwiska (jak i zwierzęta, i ludzie), był bowiem tak majestatyczny, iż mówiono o nim tylko „Jakiż piękny jest nasz Łabędź!”. Nie wiadomo, skąd przybył, czy też tu się narodził. Do czasu...

Pewnej spokojnej wiosny, kiedy lody ruszyły do zimniejszych krain w głębi wód i trawiastych wygonów, kiedy słońce zaczęło mniej bojaźliwie wyglądać na świat, rozpoczęły się gody. A następnie, gdy czas minął jakiś, u jednych mniejszy, u drugich większy (na szczęście lasu nie zamieszkiwała słońca, która bardzo się z tym lubi ociągać), na świat przyszły owoce miłości, a niekiedy po prostu zwyczajnego oczarowania. Także staw przyległy do wioski zaroił się mnóstwem niezdarnie gramolących się, popiskujących, wiecznie głodnych pisklaków.

Chyba za wolą wielkiego Łabędzia w zeszłym roku staw zamieszkała para młodych z jego gromady. I nagle, po okresie pięknych uniesień, kiedy

on nie odstępował nawet na chwilę swojej lubej (czy u ludzi też tak bywa?), po krótkim miesiącu, a może i dwóch, na świat przyszedł owoc ich uczucia.

Ona była bardzo dumna, tarmosiła małego za pióra, uczyła pływać, on znosił obojgu smaczne kaszki. Kiedy jednak czas przemijał i malec (właściwie była to dziewczynka) rósł, samiec zaczynał się trochę frasować. Bo oto ich łąbędź był brzydki: ciemny, grubo ciosany, trudno było zwrócić na niego uwagę. Gdzie mu tam było do pięknego Łabędzia z ich stawu, a nawet daleko do rodziców!

Ale miłość jest miłością i oboje cieszyli się, gdy młoda dorastała. Przez wiele kolejnych miesięcy nikt jednak nie zwracał uwagi na Zuzię (tak ją nazwali, nie wiedzieć czemu) i wyglądało na to, że biedna spędzi swoje życie w staropanieństwie. Bogiem a prawdą, były to frasunki zdecydowanie przedwcześnie, bo Zuzia była jeszcze malutka. Ale powiedzcie sami, czy znaliście kiedyś rodziców zakochanych w swoich dzieciach, a przy tym rozsądnych?

Zuzia sama jednak czuła, że coś jest nie tak. Chodziła, patrzyła w zwierciadło wody i widziała w nim niezgrabne ptaszysko. Kiedyś, gdy po raz kolejny smutno wpatrywała się w szkaradny obraz naszkicowany na niezmaconej najłżejszym zefirkiem tafli, nagle usłyszała głos pięknego Łabędzia:

„Czy coś trapi Cię, moja droga? Czemu twoje oczy są mokre, jakbyś wycierała je poranną rosą?”

Zuzia nagle i wbrew sobie odważnie odparła:

„Bo jestem brzydka, drogi Łabędziu. I będę już brzydka, i nikt mnie nie zechce, i spędzę życie sama albo z jakimś łobuzem, który poleci na posag, a nie na mnie” (muszę wam zdradzić, że nawet młode łąbędzie były nad wyraz rezolutne).

„Mylisz się, moja młoda przyjaciółko. Chciałbym nauczyć Cię życia, a przynajmniej jednej prawdy, resztę poznasz sama albo ktoś inny będzie Ci w tym pomagał. Otóż ta prawda brzmi: nic nie jest ładne, ani brzydkie, to my sami tak sądzimy. Piękne lub brzydkie są tylko nasze uczynki. Co więcej jednak, zdradzę Ci pewien sekret, bo jesteś dobrą i grzeczną dziewczynką: uroda zależy od nas samych, to my ją kształtujemy (choć, Bogiem a prawdą,

kwiat lilii wodnej we włosach, nieco drzewnego węgla w brwiach czy pióra pokropione precudnym zapachem łąki nikomu nie zaszkodzą). Nie wierzysz? Pomyśl, jaka jesteś piękna!” – zakończył On.

„Nie wierzę, mój wspaniały ptaku. To bujdy nawet, gdy Ty je mówisz” – słabym głosem odparła Zuzia, bo do tej pory Łabędź uważany był za nieomylnego, choć takich rzeczy nikomu nie mówił (tak przynajmniej sądziła naiwna Zuzia).

„Spróbuj; zamknij oczy i spróbuj, proszę” – padła odpowiedź.

I tak też się stało. Zuzia przymknęła powieki, myślała i coraz bardziej wierzyła w to, że jest piękna. Bała się jednak otworzyć oczy, pewna, że czar pryśnie. I w końcu nie dała rady; rzuciła spojrzenie na taflę stawu i co to – własnym oczom nie uwierzyła!



„Bo jestem brzydka... I będę już brzydka, i nikt mnie nie zechce, i spędzę życie sama albo z jakimś łobuzem, który poleci na posag, a nie na mnie”

Rys. Zosia Walewska, lat 6

Oto w leśnym zwierciadle spokojnej głębi wody przeglądał się piękny (nawet piękniejszy, przyznajmy szczerze, od starego już samca, który stał obok) ptak. Lśniące białe pióra, gibka szyja, zgrabne łapki, pyszczek stworzony do pieszczot, zalotny kuperek – wszystko to było tak śliczne, aż nie do wiary. Na wszelki wypadek Zuzia więc zamknęła oczy raz jeszcze i raz jeszcze je otworzyła – ale czar nie prysnął.

„Czy ja będę taka zawsze?” – drżącym głosem spytało maleństwo.

„Tak, zawsze. Ja też taki byłem, choć trudno w to uwierzyć. Nawet, kiedy będziesz bardzo stara, Twoje ciało zmieni swoje wymiary i utraci trochę blasku, Twój urok będzie trwał, może nie dla wszystkich, ale na pewno nie tylko dla Ciebie. Dopóki nie stracisz wiary, ona jest tym, czym dla głupich dzierlatek kosmetyki, tak chętnie przez nie nadużywane” – poważnie odparł władca stawu.

„Powiem jednak coś jeszcze, co ważne dla ciebie, wkraczasz dopiero bowiem w dorosłe życie. Możesz mieć wszystko, piękne gniazdo, gromadkę maluchów, wiernego (może niezbyt pracowitego, ale czy znasz samca pozbawionego wad ?) towarzysza życia, grono kompanów płci obojga do zabawy, nawet perfumy z macierzanki i suknię z leśnych trzciny, choć po co Ci to – chyba że dla satysfakcji; to wszystko, jeżeli będziesz tego bardzo chciała i wierzyła, że Twoje marzenia spełnią się kiedyś” – powiedział i odleciał.

A Zuzia patrzyła za nim, nagle zakochana (jak wiele innych mieszkanek dużego stawu, którym imponował ten ogromny ptak, dbający o cały swój dwór; co prawda, szybko im to przechodziło, bo taka jest niewieścia natura, a i ptak z przymrużeniem oka traktował te chwilowe fascynacje). Jeszcze nie wiedziała, co jej przyniesie dorosłe życie, ale już wiedziała, jak wiele zależy od niej. Bo czyż ten piękny Łabędź mógł skłamać?

Co prawda ci, którym płóche łabędziątka opowiedziało swoją rozmowę, kiwali z uśmiechem głowami, bo wiedzieli doskonale, iż w pewnym momencie brzydkie kaczątko przeistacza się w pięknego łabędzia bez żadnych czarów. Czy jednak na pewno mieli rację? A może każde brzydkie kaczątko kiedyś odwiedził On, który swoim spojrzeniem, swoją wiarą i pewnością dokonał takiego cudu?

KAMELEON

Wśród wielu dziwnych zwierząt zamieszkujących Wielki Las i jego okolice niewątpliwie jednym z najdziwniejszym był kameleon. Był to zwierzak poruszający się z niespotykaną nawet u pięknych sarenek i smukłych gazeli gracją, kolorowy jak tęcza po świeżo spadłym deszczu. Wydawałoby się, wszyscy powinni lubić tego zwierzaka, tak miłego, nie zagrażającego przecież nikomu swoimi małymi rozmiarami, nie wchodzącego nikomu w drogę. A jednak było inaczej, kameleon poruszał się wprawdzie swoimi własnymi drogami, ale i spośród mieszkańców tego zakątka naszego jakże różnorodnego świata chyba nikt tak naprawdę nie tęsknił do zbyt częstych z nim spotkań. Dlaczego tak się stało, dlaczego mały jaszczurkopodobny stwór żył z dala od wszystkich?

Nie zawsze tak było. Po prawdzie, mało kto pamiętał, kiedy kameleon przywędrował w te strony, musiało to stać się dawno temu, choć mieszkańcy wioski i boru żyją przecież setki lat. Jego przyjście wywołało pewne poruszenie, gdyż – jak orzekła Tosia, najmądrzejsza i najbardziej dociekliwa nie tylko spośród dzieci, ale i dorosłych – kameleony według mądrych ksiązek żyją w krajach o wiele cieplejszych niż ten. Ona też rozpoznała, co to jest takiego, i powiedziała o tym, jak to kameleon, jako jedyne stworzenie zmienia barwę.

I tak też było, z początku zbiegało się wiele stworów popatrzeć na ów dziw natury, aż do chwili, kiedy...

Kameleon leżał sobie przy drodze, błyszcząc żółtozłotą skórą, rzekłbyś – zadowolony z siebie. Mały wilczek podbiegł do niego patrząc ciekawie. Po chwili trącił radośnie pyszczkiem małego zwierzaka i polizał go kilka razy. „Jaki on ładny” – pomyślał wilczek, a wtem kameleon zmienił barwę mieniając się wszystkimi barwami starego złota, zachodzącej jesieni. Wyglądał tak pięknie!

Po chwili jednak pojawiła się wilczyca, zaniepokojona brakiem swego synka. Spojrzała na to, co się dzieje, i zawołała do niego „Zostaw to obrzydlistwo i wracaj natychmiast do nory”. Cóż się jednak stało? Jeszcze nie przebrzmiały jej słowa, a skóra kameleona ściemniała, straciła połysk i urok.



„Jaki on ładny” – pomyślał wilczek, a wtem kameleon zmienił barwę mieniając się wszystkimi barwami starego złota zachodzącej jesieni. Wyglądał tak pięknie!

Rys. Zosia Walewska, lat 6

I choć kameleon doświadczał raczej przyjaznych gestów i dumnie błyszczał w sierpniowym słońcu, nie zawsze tak było, jak widać. Ludzie szybko dostrzegli, że kameleon wyraźnie gaśnie, kiedy dostrzega nieprzyjazne miny, ale dopiero jego przemiana po słowach zazdrosnej o swego małego wilczyca uzmysłowiła niektórym, iż chodzi o coś jeszcze. A może rozumie on i słowa?

Gdybyż to jednak było wszystko! Pewnego dnia kameleon leżał pod ławką, na której wesoło rozprawiły dwie kumy. „Patrz, jak ta idiotka ubrała się dziś, całkowite bezguście, nie sądzisz, sąsiadko?” – rzekła jedna. „Masz całkowitą rację, to jest po prostu okropne” – odparła druga, a kameleon nagle zrobił się jadowicie zielony. Nie lubił także zawiści?

Czarę przepełniły jednak inne zdarzenia. Pewnego popołudnia na drodze, z pobliskiego zagajnika, wyskoczyła nagle piękna łania. Spojrzała na nią pasąca się krowa i pomyślała „Wcale nie jesteś ładna, tak tylko mówią o tobie, w istocie ja jestem o wiele piękniejsza!” - a kameleon, jakby zmieszany, nagle zaczął pulsować ostrymi barwami.

Może to wszystko nie byłoby jeszcze tak trudne do zniesienia, gdyby późną jesienią stara zawistnica, żona zahukanego gajowego, nie siedziała przed swoim domem i nie oglądała przechodzących. „Ach ty niedojdo, żeby cię zaraza wytlukła z twoim dorobkiem” - pomyślała patrząc na zaradną kowalową wesoło rozprawiającą z dziećmi. „Obyś okulał, głupku, i przestał mi wybierać wszystkie grzyby w lesie” - przeszło jej przez myśl na widok jednego z krasnali, wesołego Psołka. „Jak ludzie mogą ścierpieć sąsiedztwo takich obrzydliwych stworów, powinni je wystrzelać do nogi” - doszła do tego niezbyt miłego wniosku oglądając pogrążonego w wesołej rozmowie z Dobromirem Starego Wilka.

„A co to się stało z kameleonem, naszym kochanym zwierzątkiem? Chyba jest bardzo chory, bo cały aż szerniał!” - usłyszała nagle cienki głosik małej dziewczynki z sąsiedztwa, która podbiegła, wzięła go na ręce i zaniósła do domu, aby wyzdrowiał.

Więść o tym, co zaszło z kameleonem, rozeszła się szybko. Niektórzy, słysząc o całym zdarzeniu, zrozumieli, jak dziwnym stworem jest ten mały zwierzątko. Inni, choć przeczuwali coś, woleli nawet nie domyślać się, co dzieje się z kameleonem, kiedy obcuje on z brudnymi myślami i charakterami.

A kiedy kameleon wyzdrowiał, przysłała zima i nagle pewnego dnia kameleon zniknął. Tak najzwyczajniej w świecie. Dzieciom zrobiło się smutno, niektórym dorosłym też, ale nie wiadomo, czy większość nie przyjęła tego z ulgą.

W wiosce jest teraz spokojnie, choć są tacy, co ze strachem czekają na powrót kameleona woląc, aby ich myśli nie zostały nigdy odczytane. Może jest ich większość, bo czy tak naprawdę kameleony da się lubić, czy nikt z nas nie ma nigdy takich marzeń i życzeń, które powinny zostać głęboko ukryte?

KARNAWAŁ U PANI SOWY

Kiedy wesoło minął Nowy Rok, rozpoczynając czas karnawału, wszyscy ludzie i zwierzęta, zgodnie żyjący obok siebie w Wielkim Lesie i położonej nieopodal wiosce, cieszyli się niezmiernie. Musicie bowiem wiedzieć, że także leśne zwierzęta lubią bawić się i psocić, przyjmować i być przyjmowanymi, zajadać smaczne kąski dostarczane przez dobrotliwy las i zwinnie płynący Czarny Strumień, zapijając je swojskim miodem czy nawet poranną rosą.

Kiedy więc pewnego razu Pani Sowa nieoczekiwanie oznajmiła o swej chęci spotkania się z nimi na wesołej zabawie, radości nie było końca. Jedynie Stary Wilk, jak zwykle nieco ponury i narzekający, burczał, że zaproszenie przyszło nie w porę: trzeba odgarnąć śnieg wciąż ubielający domostwo i drogę, przygotować się do nadchodzącej wiosny. Ale Wilczyca wiedziała, że to tylko wymówki, że w istocie jej małżonek lubi przyjęcia, ale jeszcze bardziej lubi gderać. Pamiętała, że gdzie jak gdzie, ale u Pani Sowy nudzić się nie było sposób.



...Pani Sowa nieoczekiwanie oznajmiła o swej chęci spotkania się z nimi na wesołej zabawie, radości nie było końca....

Rys. Helenka Lenzion, lat 2

Przyjęcie miało odbyć się za czas jakiś, ale roboty już przedtem było co niemiara, bowiem Sowa, jak zwykle skrząca dowcipem i niesamowitymi pomysłami, zaproponowała przebranie się wszystkich za leśne duszki. Było w czym wybierać: skrzaty i elfy, krasnale i gnomy, i wiele innych stworów, nienazwanych i nieznanym ludziom, ale jakże często będących tematem rozmów zwierzęcych przyjaciół!

Przyszedł wreszcie długo wyczekiwany dzień. Wilk trzymając pod rękę Wilczycę wysiadł przed domem Pani Sowy z pięknych sań, ciągniętych przez renifery dorabiające w przedsiębiorstwie taksówkowym „Święty Mikołaj”. Mieszkała w przepięknej dla jednych okolicy, inni oczywiście marudzili, ale Sowa tak uwielbiała towarzystwo królewskich ptaków, orłów majestatycznie krążących nad tymi ziemiami, iż nazwała tę połąć Wielkiego Lasu – Orłowem. Oczywiście Państwo Wilkowie byli ostatni; a to Pani Wilczyca narzekała nie mogąc się zdecydować, czy przywdziać strój zielonego sowizdrzała, czy też lepiej zwiewnej ruszałki, a to Stary Wilk marudził mówiąc, że nic na niego nie pasuje (latka leciały i w pasie przybywało !) i wcale nie pójdzie. Kiedy drzwi się otwały, w środku czekała na nich już cała kompania.

Obok uroczej gospodyni, przyodzianej w długi kaptur Wróżki z Bajkowego Boru, wesoło gości przywitał także gospodarz, jak zwykle dobroduszny i wylewny Puchacz, jak zwykle też z parą kielichów zawierających najprzedniejsze trunki z Niedźwiedziej Watry (najlepszej knajpy w całej okolicy!). Następna na szyję Wilczycy rzuciła się Lisica, ogarniająca ramionami cały świat, kochająca wszystkich, pełna ciepła i chęci życia. Niedźwiedź, dawny kompan Starego Wilka jeszcze z lat młodzieńczych, jak zwykle trzymał się kilka kroków za swoją małżonką, umiejętnie dzieląc uwagę między potrzebę dostrzegania w lot kaprysów swej lubej, a równie ważną chęć dotrzymywania kroku innym w kosztowaniu wybornego trunku. Pani Czapla i jej mąż, Pan Żuraw, trzymali się nieco z tyłu, co było w zwyczaju nieśmiałej pary, ale i oni po chwili niezwykle serdecznie powitali nowoprzybyłych. Ostatnia para, Pan Borsuk z Panią Wiewiórką, wtargnęli odrobinę spóźnieni, tuż przed Państwem Wilków; Borsuk powracający z delegacji z dalekiego Czarnego Potoku, gdzie dyskutował szczegóły handlu

żeremiami, Wiewiórka także oderwana od kolejnej pracy w swojej domowej spiżarni, ale oboje ogromnie zadowoleni. Wszyscy oni niebawem złączyli swe siły w kosztowaniu likworów Puchaczowej spiżarni, znakomitych smakołyków Sowiej kuchni (pamiętacie boskiego sandacza w sosie z dzikiego agrestu, nadziewanego borowikami ?), cieszeniu oka kolejnymi dziełami ich utalentowanego dziecka (któż tak pięknie potrafiłby utkać z leśnych traw obraz słońca zachodzącego nad Wielką Wodą !), wesołej rozmowie o wyższości zapachu leśnych konwalii nad wonią niezapominajek, czy tajemnicy najnowszego eliksiru domownika, gdzie obok dwunastoletniego miodu dawało się wyczuć woń czerwonych jarzębin, goryczkę głogu, kojący zapach lipy, wytrawny smak dębowych liści, bukiet jałowca...

Ale u Pani Sowy nie tak przebiegały przyjęcia, o nie ! Jak zwykle niestrudzona gospodyni już po pierwszej godzinie zrobiła gościom niespodziankę, którą okazał się konkurs na wiedzę o świecie elfów. Pytania były bardzo trudne: z czego wytwarzano płyn do kąpieli dla pierwszej królowej Elfów, o której godzinie wstawał Stary Gnom po przestraszeniu kolejnego niegrzecznego dziecka, jakiego koloru wdziewa skrzat buciki w niedzielę, a jakiego – w powszedni dzień tygodnia. Najlepszym znawcą okazała się Lisica, wybornie znająca obyczaje i zachowanie nie tylko tego świata, z którym się stykała. Po czym nastąpił dalszy ciąg wspaniałej uczy.

Po pierwszym konkursie przyszedł czas na wybór Królowej Podziemnego Świata. Długo ważyły się losy: w końcu zebrani stwierdzili, że wprawdzie Pani Sowa, w znakomitym przebraniu Wesołej Czarodziejki mogłaby być uznana za najlepszą, ale wśród gości na wyróżnienie zasługuje niewątpliwie Pani Czapla w stroju Pazia Królowej Elfów. Piękny był to strój, niewątpliwie, i tylko Pan Żuraw wiedział, jak długo trwało poszukiwanie niezbędnych akcesoriów do jego sporządzenia – zielonego runa do utkania szaty, brązowo-złotej kory do wykonania ślicznych bucików, delikatnej pajęczyny zamiast woalki, pięknego muchomora użytego na zdobny kapelusz.

Choć zabawom, śpiewom i przekomarzaniom nie było końca, Pani Sowa po krótkiej przerwie zarządziła kolejne zawody. Tym razem zebrani mieli wymyślić wierszyk na cześć Królowej Elfów, Skrzatów i Krasnali (nie

wszyscy zapewne wiedzą, że od ponad trzystu lat rody te żyją zjednoczone, w bezpiecznej oddali od Gnomów, Wilkołaków, Strzyg i innych, mniej wesołych stworów Wielkiego Lasu). Powstały wtedy piękne wiersze, które jeszcze długo tkwiły w pamięci grona przyjaciół, choć były tak misterne, że powtórzyć ich niesposób. I znów przemiła gospodyni nie dała się ubłagać i nie wzięła udziału w tej trudnej konkurencji; przynajmniej jednak uczciwie, nie byłoby to w porządku wobec pozostałych, bo też talentów Pani Sowy w dziedzinie wdzięcznego niania rymów żadną miarą zmierzyć nie można było. Tytuł Nadwornej Poetki przypadł Pani Wiewiórcy, bystrej, szybkiej, a zarazem niezwykle romantycznej. I tak też był jej wiersz, mówiący o niespełnionej miłości Królowej Elfów do Władcy Wichrów, burzącego spójność domostw, wzbudzającego namiętności swą dzikością, a przecież jakże niestałego, to tu, to tam, nigdzie nie zagrzewającego miejsca, nawet na tak cudownym Dworze...

I znowu towarzystwo zasiadło do stołu, przeczuwając zapewne, że koniec już blisko, bo też gwiazdy zaczynały powoli blaknąć na nieboskłonie. Po raz ostatni zagrała orkiestra doborowych świerszczy specjalnie na tę okazję sprowadzonych, znów odezwały się piękne trele słowików, a goście ruszyli w tany, nieco pomęczeni, ale wciąż ochoczy, bo wszak za chwilę miał odbyć się wybór Królowej Tańca. Bez dyskusji niemal wszyscy orzekli, że – nie odmawiając niewątpliwych zdolności żadnej z pozostałych niewiast – tytuł ten należy się z całą pewnością uroczej Wilczycy, z wdziękiem poruszającej się w wolnych tańcach, a zawrotnie pływającej po modrzewiowym parkiecie w najbardziej zwariowanych rytmach, jakie dziarska orkiestra była w stanie sobie przypomnieć.

Wszystkie więc zaproszone panie mogły pochwalić się sukcesem w jednej z konkurencji, co bardzo – mówiąc skrycie – odpowiadało Pani Sowie, nie chciała ona bowiem, aby ktoś był smutny na jej przyjęciu. Odpowiadało to także i mężom naszych konkurentek, albowiem wiedzieli oni dobrze, że każdy sukces ich cudownych towarzyszek oznacza dobrą atmosferę w domu, zaś każda porażka to konieczność wielu żmudnych zabiegów dla poprawienia nastroju. A tak mogli spokojnie delektować się kolejną butelczyną, wciąż

wydobywaną przez zacnego gospodarza z głębokiej piwniczki, co wprawiało ich w coraz większą rozkosz...

I tak powoli kończył się karnawał dla grona, które mimo różnic wyglądu i charakteru lubiło przestawać ze sobą, potrafiło w pracowitych dniach znaleźć chwilę czasu na wspólne zabawy i biesiady. Wszak życie, ludzi i zwierząt, trwa jednakowo krótko; może długo, kiedy się zaczyna, ale zaledwie jedną chwilkę, kiedy już się kończy. Trzeba więc radować się każdą chwilą, dopóki jeszcze ono trwa, dopóki jeszcze są przyjaciele...



...Trzeba więc radować się każdą chwilą, dopóki jeszcze ono trwa, dopóki jeszcze są przyjaciele...

Rys. Staś Czerepak, lat 4

WIEWIÓRKI

Wiewiórki to zapobiegliwe zwierzątka. I tego roku, jak zawsze, pracowały dzielnie zbierając pokarm na zimę. Nie wiadomo było przecież, czy będzie ona sroga, czy łagodna, czy przysypie wszystkie dęby, leszczyny i orzechy sprowadzone z dalekiej Italii śnieżną pierzynką, nie dając szans na znalezienie pokarmu, czy będzie nieco łaskawsza pod tym względem, ale za to przyniesie złowrogie wichry, na tyle, że nawet wiewiórki będą wołały zostać w swoich schronieniach.

Cały (no, prawie cały...) Wielki Las uwielbiał rudowłose, szybko przemierzające odległe niekiedy przestrzenie pomiędzy drzewami, zawsze lekko zatroskane stwory. Leśna społeczność ma jednak swoje prawa i oprócz dbałości o własną przyszłość wiewiórki dostały trudne zadanie myślenia także o innych. Nie to, żeby częstować wszystkich swoimi orzechami, co to, to nie ! Jednakże przy nadmiarze gąb, pysków i buzi do wykarmienia trzeba było zaplanować umiejętnie i doradzić poszczególnym zwierzątkom, a nawet niekiedy i ludziom z nie tak odległej wioski, co i gdzie zbierać, jak latem myśleć o zimie, a zimą o niebieskich migdałach. Nawiasem mówiąc, to popularne żartobliwe powiedzenie powstało właśnie w tym stadle, kiedy to dla żartów jedna z nich pomalowała błękitem majowego nieba egzotyczne i niezbyt chętnie jadane w tych okolicach z powodu gorzkiego smaku migdały, dar Bociana przywieziony z dalekich gorących okolic.

Mała dygresja na temat zachowań mieszkańców Wielkiego Lasu i Wilczego Boru. Ci drudzy – wilki i niedźwiedzie, żubry i tury, zamieszkiwali okolice dość ponure i dzikie, porośnięte gęstym drzewostanem, z wieloma uroczyskami, leśnymi połyskującymi niekiedy jak srebrna bransoleta oczkami wodnymi. Wielki Las był o wiele większy, zgodnie ze swoją nazwą, niemal nie do przebycia, zasiedlony przez mniej płochliwe zwierzęta, w tym nasze wiewiórki, ale także ptactwo wodne, czy lisy i borsuki, a także bobry, kuny, puchacze i wielu innych mieszkańców.



...wiewiórki dostały trudne zadanie myślenia także o innych ...

Rys. Emilia Zaleska, lat 7

Na skrajach Wielkiego Lasu, w mocno górzystym terenie spostrzec można było kozice, puste niekiedy przestrzenie przemierzały rącho gazy i gepardy, żyjące całkiem w zgodzie. Obowiązywał tu, w obu częściach tej dziwnej krainy, przedziwny kodeks: nie wolno było zabijać ani nawet ranić kogokolwiek, tak że nawet wilki i rysie, lwy i tygrysy stały się wegetarianami. Pewnie, zwierzęta także miały uczucia i charakterki, nikt specjalnie przepadał za złowrogo krążącym, pewnym i dumnym z siebie jastrzębiem, czy mysołowem; niespecjalnie lubiane były hieny i szakale, urodzone kłamczuchy, uwielbiające ściąganie pożywienia innym i udawanie niewiniątek; wreszcie trudno było przyzwyczać się do skądinąd urodziwych papug, stale powtarzających wszystkie zasłyszane pochlebstwa i stąd cieszących się wśród niektórych mieszkańców Wielkiego Lasu, przekonanych o własnym pięknie i dobroci, szczególnym uznaniem. Powiedzmy sobie jednak szczerze: nawet jeżeli wielokrotnie w leśnych ostępach sytuacja dojrzewała niemal do rewolucji, to w końcu łagodne zwierzęce charaktery potrafiły obrócić kłótnie, swary i narzekania na dobre. To jednak nie ludzie ...

Pewnego więc roku, na mocy niepisanej umowy, a i sugestii Wilka, wiewiórkom przypadł przy podziale ról zaszczytny, ale także trudny obowiązek. Miały one odtąd już nie tylko dbać o siebie, ale także o innych. Przemierzając leśne ostępy bacznie odnotowywały więc rude skrzaty, gdzie rosną maliny i poziomki, jagody i borówki, wypatrując barci i miodu, sosen ze smukłymi szyszkami, dębów z dorodnymi żołędziami. Ba, to one wpadły na pomysł, aby na wielkich polanach urządzić prawdziwe rolne gospodarstwa, uprawiane przez silniejszych towarzyszy, z pięknymi ogórkami i pomidorami, piekącą rzodkwią i rzepą, przynoszącymi zdrowie kapustą i marchwią. Po cichu, bo nie było to mile widziane, opanowały sztukę warzenia miodu, wybornie smakującego i prowadzącego do rozkosznego szmeru w łepetynkach wszystkich go nadużywających; nade wszystko jednak ceniono ich zdrowotne nalewki - z bursztynowej wody i sosnowych igieł na przeziębione gardła, z kory dębu i czarnej rzodkwi na obolałe brzuszki, wreszcie z porannej rosy i promyków wstającego słońca na rozweselenie w ponure jesienne słoty.

I wszystko byłoby pięknie, nawet narzekania i połajanki co niektórych współmieszkańców byłby do zniesienia, gdyby nie zdarzyło się nieszczęście. Leśne okolice były pod tym względem podobne innym, smutek nierzadko mącił radość. I tu odchodziły zwierzęta, jak ludzie; przedwcześnie opuściła Wielki Las smukła Gazela, powszechnie lubiana, niezwykle pracowita i mądra prawie jak Marabut i Puchacz (a może bardziej, bo ci ostatni znani byli z przechwałek), pożegnała leśne towarzystwo nieco leniwa Pszczółka i nieco przemądrzała, ale także dzielna Kuna ... Oczywiście, wszyscy doskonale wiemy, że gdzieś daleko są wszyscy, co odeszli od nas, mają mnóstwo innych zadań tak ważnych i pilnych, iż brak im czasu na powiedzenie tym, którzy zostali – nie martwcie się, że nas nie ma, cieszcie się, że byliśmy, kiedyś los nas na pewno zetknie ze sobą, na każdego czeka wielka Przeprowadzka ...

Przyszedł więc na nasze towarzystwo pewien straszliwy rok. Już lato było niespokojne, raz to częstujące mocno upalnym słońcem, tak gorącym, że leśne uprawy w połowie stały się martwym zagonem; innym razem huraganem, który wyrywał słabe rośliny i nawet potężne drzewa

z korzeniami. Jesień przywitała Wielki Las ogromnymi ulewami, zatapiającym wiele nor, napelniającymi wodą po brzegi dziuple z pożywieniem. Wreszcie zima, zamiast rozświetlonych białym puchem modrzewiów i świerków, przyniosła w niechcianym prezencie śnieg pokrywający grubą pokrywą cały las, i lód skuwający jeziora. I stało się tak, że mieszkańcom zajrzały w oczy dawno tu nie widziane głód, choroby i wychłodzenie – nawet jeżeli gęste futra chroniły je nieco, to puste brzuszki powodowały, że z wolna krew krążyła coraz wolniej, coraz mniej chciało się żyć.

I byłoby zginęło jeżeli nie całe to bractwo, to na pewno zabrakłoby dalszego ciągu bajek, bo któż i o kim by je opowiadał? Choć niektóre dumne zwierzęta sobie przypisują po dziś zasługi w uratowaniu mieszkańców Wielkiego Lasu, a wiewiórki skromnie milczą, bo są zbyt małe, aby mówić głośno prawdę, to jednak ten jeden raz powiedzmy, jak było wtedy.

Las pokryło wielkie Milczenie, wszyscy pochowali się, gdzie tylko można było, bo jak dotrzeć do nor i pieczar, jak znaleźć pożywienie? Dopiero mądre wiewiórki wpadły na pomysł; cztery z nich chrupiąc orzeszki zaczęły myśleć, jak dziwne są zwierzęta, jak często myślą tylko o sobie, pozornie nawet służąc innym. I wtedy zaczęło się ...

Najpierw jedna z nich odwiedziła lisy. „Hej, Lisie Witalisie, nie zechciałbyś pokopać sobie w śniegu tam, gdzie Cię poproszę? Jesteś taki szybki ...”. I zaprowadziła towarzysza lisa wraz ze swoim stadkiem w miejsce, gdzie ukryte były na dnie parowu antałki z rozgrzewającymi likworami. Dzięki ich wydobyciu na dzienne światło reszta poszła już łatwiej.

„Krecie, bracie, czy wydrążyłbyś kilka tuneli tam, gdzie ci pokażę? Nie ma przecież lepszego od ciebie w zwiedzaniu podziemnego świata”. I tym razem po zaledwie jednym dniu leśny ludek stał się posiadaczem zapasów schowanych na zimę pod grubą warstwą śniegu, rzekłbyś – bezpowrotnie utraconych.

„Żubrze, stoisz tak beczynnio, jesteś taki silny, chyba jednak nie dałbyś rady przełamać lodowej pokrywy, prawda?”. Oburzony tą niewiarą żubr w niespełna kilka godzin, razem z turami i bizonami, uwolnili leśne jeziora z więzów zimy, ku uciechu rusałek, rybich stadek, brodzących ptaków.

I tak powoli, wykorzystując z jednej strony naturalne przymioty wielu zwierząt, a z drugiej ich ambicję, a i niekiedy zarozumiałość, wiewiórki w ciągu dni zaledwie doprowadziły do tego, że Wielki Las odżył. I nawet jeżeli po latach zaginęła pamięć, kto tak naprawdę był inicjatorem tego cudu, nie dziwcie się. Wszak wiewiórki są najbardziej zapobiegliwymi stworzonkami i o sławie nie marzą, a za to podchodzą bardzo poważnie do swoich obowiązków. Za to jednak, czy jest ktoś, kto nie lubi wiewiórek?

KOPCIUSZEK I ROPUSZY KRÓL

Na samym skraju wioski, kilka mil od Wilczych Błot, stała sobie skromna chatka, a w niej mieszkała młoda para. On, chwacki i krzepki kowal, zarabiał na życie jak mógł, nie gardząc także a to ciesielką, a to podwożeniem, a to żniwowaniem, bo czasy były ciężkie. Ona opiekowała się domostwem, rozpalala w piecu, pilnowala trzody, ale częstokroć wynajmowała się do roboty w polu, próbowała wyszywania pięknych serwet, strugania świętych figurek. Nie było to łatwe, a że młoda mężatka dbała może przesadnie o swój wygląd próbując zmyć ze swego liczka nawet nieistniejące zabrudzenia, mieszkańcy wioski nieco złośliwie, jak to na wsi, zwali ją Kopciuszkiem. Kochali się bardzo, i pewnie dlatego on często patrzył z troską na swoją żonę myśląc, jak długo trzeba będzie im borykać się z losem, zanim z otuchą spojrzą w przyszłość.

Ludzie z wioski widzieli, jak im ciężko, ale też podziwiali parę tak zgodną, choć wcale nie podobną charakterami. On był pracowitym, bystrym, pogodnym młodzieńcem, twardo stąpającym po ziemi. Zawsze roześmiany, zawsze przyjazny, nie było dla niego spraw nie do załatwienia. Ona, przeciwnie, żyła marzeniami, ale dlatego uwielbiały ją wszystkie dzieci, psy, koty i leśne zwierzęta; każde pogłaskała, każde przytuliła, rozczuliła się nad losem zranionego jelonka czy bociana ze złamanym skrzydłem. Bogiem a prawdą, jej mąż niekiedy miał serdecznie dosyć tej troskliwości, kiedy to w środku nocy budził go tupot nówek małego języka, który zapragnął nagle ogrzać się w ich ciepłym łóżu. Często dotykały ich przeciwności losu: a to pożar strawił część ich skromnego dobytku, a to podwoda złamała się na wyboistej drodze. Pocieszali się jednak nawzajem w trudnych chwilach: kiedy on siedział zmartwiony, ona przytulała go prosząc, aby w jej ramionach zapomniał o przeżywanym nieszczęściu; kiedy ona jeszcze spała, strudzona od pracy i płaczu, jej ukochany krzątał się po chatce szykując poranny posiłek dla pokrzepienia jej ciała i bukiet świeżo zerwanych tulipanów dla pocieszenia jej oczu.

Czyż nie jest bowiem tak, że po nocy wstaje dzień, po burzy wschodzi słońce, a po przykrych przejściach nadchodzi czas na uśmiech?

Byli lubiani przez ludzi z wioski i okolic, bo też kto nie lubi takich, co umieją zrobić wszystko, szybko a solidnie, i wcale nie żądają od razu zapłaty! Stąd, choć oboje pracowali wielekroć ponad siły, niewiele im z tego przychodziło, bo większość potrzebujących ich pomocy nie bardzo mogła odwdziżyć się za nią inaczej niż dobrym słowem, obiecując jedynie, że jutro, za tydzień, miesiąc czy rok... Młody kowal nie do końca wierzył w te zapewnienia, ale jego łagodna żona, romantyczna i zapatrzona w przyszłość, pocieszała go, że przecież kiedyś musi im być lepiej. Żyli więc dobrym słowem i miłością; zadowalało ich to, bo musiało, a zresztą – czy wiele jest takich par, którym już wspólne życie wystarcza do szczęścia?

Aż tu pewnego dnia... Kopciuszek wybrała się nazbierać grzybów na pyszną zupę (nie przepadała za gotowaniem, jak to młode dziewczęta, ale jej grzybowa była słynna w całej okolicy!), a przy okazji odwiedzić swoją sędziwą babunię, mieszkającą nad Leśnym Potokiem, nieopodal Wilczej Chatki. Kiedy przeskakiwała zwinną stopką strumyczek, nagle zobaczyła siedzącą na jego brzegu ogromną, wstrętną ropuchę.

„Dziecko” – powiedziała ropucha – „czy nie chciałabyś mnie pocałować? Słyszałem o twoim cudownym charakterze i myślę, że dobry los wybrał mi ciebie, abym na powrót stał się tym, kim byłem – pięknym królewiczem, teraz za swe hulaszczcze życie zaklętym w straszego potwora”.

„Ropuszko” – odparła ona – „zaskoczyłaś mnie ogromnie. Nie sądziłam, że ropuchy potrafią mówić, a opowieść o synu króla zaklętym w żabę jest ogromnie stara, i szczerze mówiąc wątpię, aby było w niej coś z prawdy”.

„Zaiste, bardzo subtelnie wyrażasz to, co inni ludzie bez ogródek nazywają bajaniem starych ramoli. Przypowieść jest wiekowa, bo też od wielu wieków muszę tkwić w tej postaci. Nigdy jeszcze nie spotkałem młodej, pięknej niewiasty, która zdobyłaby się na pocałunek mojej wstrętnej gęby. Nawiasem mówiąc, jestem ropuch, bo pod tą nikczemną postacią kryje się mężczyzna” – odrzekł zwierz.

„Dlaczego nie miałabym zrobić tego, o co mnie prosisz?” – powiedziała ona – „przecież w ten sposób nie zdradzę swojego męża, trzeba robić od czasu do czasu coś dla innych, a Twoja twarz nie jest wcale taka szpetna. Masz

piękny zielony brzusek, ogromne zniewalające oczy, a kiedy mówisz, to jakby dywan kwiatów tkał się z twoich słów”.

I to powiedziawszy, dziewczyna przysunęła swoją twarz do ropuszego pyska i delikatnie dotknęła go swoimi ustami. Wtem nagle zagrzmiało, zadymiło, ropuch zniknął i na jego miejscu pojawił się przystojny mężczyzna (choć przyznajmy, nie taki znów najmłodszy).

„Proś, o co chcesz” – powiedział królewicz - „Bogate stroje? Piękny pałac? A może masz dosyć swego starego?”

„On wcale nie jest stary!” – z gniewem odpowiedziała Kopciuszek – „i bardzo go kocham. A stroje i pałac nie są mi aż tak potrzebne, choć przyznaję, że jak każda prawdziwa kobieta nie pogardziłabym nimi, o porannej rosie do kąpieli i zapachu leśnych konwalii do skropienia ciała nie wspominając. Ale nie ratowałam cię dla zysku, jeno z litości i ciekawości: chciałam sprawdzić, czy istotnie, jak mówią, nawet pod odrażającą powłoką może kryć się piękno”.

„No, cóż, śliczna i dobra dziewczyno, nie będę nalegał” – odparł syn króla - „ale sam wyznaczę nagrodę dla Ciebie. Nie każdy na nią zasługuje, ale Ty tak”. Po czym zniknął tak, jakby nigdy go nie było.

Dziewczyna zdziwiła się i ruszyła z powrotem, aby opowiedzieć swemu mężowi o dziwnej przygodzie. Jednakże po przejściu kilku kroków poczuła zniewalającą senność, położyła się więc na pachnącej murawie i usnęła. I spała, aż przyszedł zmierzch, potem noc i znów ranek, a za nim południe. Wtedy to wstała i ruszyła do domu.

A kiedy dotarła do wsi, stanęła jak wryta. Tam, gdzie jeszcze wczoraj stała ich stara, poczerniała od lat i wstydu chałupa, teraz pysznił się piękny budynek, ni to zamek, ni to pałac, jak jej się zdało. Podeszła doń i, niepewna, otworzyła drzwi, a jej oczom ukazały się śliczne wnętrza.

„Podoba ci się, kochana?” – usłyszała nagle tuż za nią głos swego męża. „Tak się cieszę, że zrobiłem ci niespodziankę, korzystając z Twojej wizyty u babci. Dobrze, że zostałaś tam na noc”.

„Ale, ale... mój miły, skąd to wszystko?” – słabym głosem powiedziała Kopciuszek.

„Nie uwierzysz, ale to wszystko dzięki naszej pracy i zdolnościom. Tyle lat robiliśmy mnóstwo rzeczy dla tylu ludzi, nie pytając, czy zapłacą i ile. I, wyobraź sobie, właśnie wczoraj zjawili się wszyscy oni, znajomi i nieznajomi, aby pospłacać długi, w pieniądzech, naturze i robociźnie. Oprócz pieniędzy, które złożyłem w komorze, przyszli z materiałami na nowy dom, z ochotą do pracy, z cudnymi strojami, z pysznym jadłem, a nawet z kołyską dla niemowlaka, bo teraz możemy chyba myśleć o naszym potomku?” – odparł jej mąż.

„Wiesz, mój kochany, że opowiadasz rzeczy niemożliwe. Ta noc musiałaby trwać bez końca. To musiał sprawić ktoś potężny, może królewicz zaklęty w ropucha, którego odczarowałam jednym pocałunkiem, nie sądzisz?” – rzekła Kopciuszek.

„Moja droga, nie wierz w cuda. Fakt, że noc wydała się strasznie długa, ale też robota paliła się nam w rękach. No, na pewno leniwy głupiec tego by nie osiągnął. Zresztą, choć nie wierzę w bajki o dobrym królewiczu, przyznam Ci, istotnie przyszło do nas szczęście, bez niego nie byłoby tak łatwo” – powiedział jej mąż. Po czym porwał w ramiona swoją ukochaną i poniósł ją na obszerne łoże, aby nacieszyć się nie tylko nowymi bogactwami, ale tym, co jest naprawdę istotne na tym świecie – pocałunkami słodkich warg, uściskiem kształtnych ramion, chwilami zapomnienia, bez których byłby on tak ubogi!

A na drugi dzień jego piękna małżonka, przeciągając się rozkosznie i wspominając z lubością minione godziny, wyszła przed dom. I nagle zobaczyła opartego o płot królewicza, uśmiechniętego i zadowolonego.

„I co, podoba ci się mój prezent?” – powiedział.

„Ależ... mój ukochany twierdzi, że to nie żaden cud, to tylko zadośćuczynienie za naszą pracę!” – powiedziała Kopciuszek.

„I ma rację, moje dziecko” – odparł królewicz – „bez waszej pracy nie byłoby tego, może istotnie chwałę się niepotrzebnie, moja rola była bardzo skromna. Kiedyś jednak zrozumiesz, że i tak ważna, jak ważne jest baczenie, aby praca, talent i dobroć były rzetelnie nagradzane - nie jest to wcale częste, a nawet może wyjątkowe. Przeszedłem się pożegnać, moja śliczna. Ale nie do

końca, nie martw się, będę już zawsze z wami, choć nie pokażę się, bo i po co – tylko ktoś tak niewinny i naiwny jak Ty może uwierzyć w moje istnienie”.

„Nie odchodź, proszę cię!” – wykrzyknęła Kopciuszek. „A jeżeli już musisz, to powiedz chociaż, jak masz na imię, abym miała kogo wspominać, opowiadając o tobie moim wnukom?”

„Mam dziwne imię,” – powiedział swoje ostatnie słowa ropuszy król – „wołają na mnie - Szczęście”.



...„Mam dziwne imię” – powiedział swoje ostatnie słowa ropuszy król – „wołają na mnie - Szczęście”...

Rys. Emilka Zaleska, lat 7

Wielu ludzi cieszyło się z tego, co widzieli w siedlisku młodej, choć z wolna starzejącej się pary, wielu też zazdrościło im w latach, które przyszły niebawem, ich miłości, bogactwa, gromady dzieci. Trudno im było zrozumieć tę odmianę losu, zwłaszcza tym, co woła czekać na fortunę nie myśląc o tym, jak jej pomóc. Ale tak już bywa i u ludzi, i u zwierząt.

Także Stary Wilk, choć patrzył na tę cudowną odmianę losu i cieszył się, dziwił się nie do końca pojmując, jak to było możliwe. Aż pewnego dnia

spytał przy kuflu piwa swego przyjaciela Niedźwiedzia, z którym spędzali wiele czasu od niepamiętnych lat (zapewne od tego tak im zaokrągliły się brzuchy) i nawet razem kończyli Leśną Akademię, dlaczego właśnie ta para młodych (wtedy już zresztą podstarzałych, ale wciąż zakochanych!) osiągnęła tak wiele. A ten odparł: „Może w ich domu, wierny druhu, na stałe zamieszkało ongiś szczęście”.

I wtedy Wilk pojął, dlaczego przed wielu, wielu laty pewna stara i gruba ropucha poprosiła go o wskazanie, kogo w wiosce powinno odwiedzić Szczęście, gdyby ślepym trafem chciało się osiedlić właśnie tutaj.

A morał z tej bajki jest jeszcze inny: nie namyślajcie się za długo, piękne panie, czy nie warto czasem obdarzyć buziakiem kogoś, nawet jeżeli wygląda szpetnie...

KRÓLOWA ELFÓW

Hen, daleko w Wilczym Borze, za nieprzebytymi górami i lasami rozpościerało się maleńkie królestwo Elfów. Rządziła nim królowa dumna i nieprzystępna, niekiedy czarująca swoim uśmiechem, niekiedy nadaśana zgoła bez powodu, zawsze chętna hołdów i rzadko skłonna do ich przyjmowania jako czegoś innego, niż rzeczy jej przynależnej. I choć jej królestwo było niewielkie, zaledwie obejmujące jezioro, kilka wysp i połać lasu, to piękna księżniczka zdawała się tego nie zauważać.



...za górami i lasami, rozpościerało się maleńkie królestwo Elfów. Rządziła nim królowa dumna i nieprzystępna, niekiedy czarująca swoim uśmiechem, niekiedy nadaśana zgoła bez powodu...

Rys. Grześ Lendzion, lat 4

Mimo swoich wdzięków – wspaniałej kibici, precudnej urody, gracji w poruszaniu się i pięknego języka – żyła samotnie. Nie to, że nikt nie chciałby posiadać za żonę tak wspaniałej dziewczyny (była ona wtedy jeszcze młoda), choć zapewne wielu odstręczał chłód bijący od niej nawet przy zapalonym kominku i wyczuwalny nawet w toku rozmowy przerywanej jej perlistym śmiechem. Nie to; rzecz w tym, że księżniczka postawiła warunek: kandydat do jej ręki musi przejść trzy straszliwe próby. Kandydatów nie było wielu, bowiem próby były istotnie bardzo trudne.

W końcu jednak, pewnego jesiennego poranka do wrót zameczka zapukał wędrowiec. Powitał witającą go rusalkę (one to bowiem były strażniczkami królowej państwa Elfów) i powiedział: „Przyszedłem zmierzyć się z zadaniami, które daje wasza piękna księżniczka pretendantom do jej ręki”. Księżniczka nieco się zdziwiła, był to bowiem człowiek już niemłody i lichej postury.

Nadszedł czas pierwszego zadania, którym było wytrwale usługiwanie księżniczce przez całe sześć miesięcy bez słowa skargi. Czegóż to ona nie zapragnęła w tym czasie: a to wieńca z żywych jaszczurek, a to buczków z polnych świerszczy, a to baldachimu nad łóżkiem utkanego z księżycowej poświaty ! Ale mężczyzna zwycięsko przeszedł tę próbę, cały czas z uśmiechem.

Drugie zadanie było jeszcze trudniejsze, polegało bowiem na odgadywaniu tego, co księżniczka sobie wymarzy. Ale i tym razem obdarzony, wydawało się, nadludzką intuicją, kandydat zadziwił kapryśną księżniczkę. Wiedział nawet takie rzeczy, kiedy chce ona uśmiechu, a kiedy świętego spokoju.

W trzeciej i ostatniej próbie wytrwały wędrowiec miał powędrować daleko i przynieść księżniczce: zaklętego rumaka, który powiezie ją hen, w dalekie kraje; kufry pachnideł, które księżniczka uwielbiała; i jeszcze wiele innych wspaniałości. Na dodatek, miał codziennie meldować o swoich postępach, choć czasu mu ledwie starczało na walkę ze strasznymi stworami broniącymi dostępu do tego, co ów mąż obiecał przywieźć. W zamian księżniczka nie rewanżowała się niczym i wędrowiec nawet nie wiedział, czy

jeszcze żyje, czy nie walczy na próżno. Pozostawało mu tylko myślenie, ale i to okazało się w końcu ważne.

Kiedy bowiem przybył z powrotem, księżniczka powitała go czarującym, ale chłodnym uśmiechem, jakim obdarzała wszystkich swoich dworaków płci męskiej (dla rusalek miała może i więcej serca, choć to nie takie pewne). Powiedziała: „Mój panie, spełniłeś wszystkie trzy moje warunki, jestem twoja”.

Ale mocno już posiwiały od lat i znoju wędrowiec spojrzał na nią i powiedział: „Pani, zobaczyłem wiele rzeczy i nauczyłem się wielu, dzięki tobie. Także tego, iż lepiej walczyć raz na jakiś czas z groźnym wilkołakiem, niż codziennie z kapryśną niewiastą”. Po czym odwrócił się na pięcie i odszedł. A po cichu za nim podążały rusalki, także bardziej spragnione wędrowca niż humorzastej księżniczki, a przy tym równie piękne i wcale nie tak jędzowate (no, może trochę, jak to każda prawdziwa kobieta).

Bajka ta znana jest od wielu pokoleń i nawet była pisana wierszem. Ale nikt nie wie, że prawdziwe zakończenie było inne. Gdy bowiem wędrowiec zginął gdzieś w lesie, księżniczka wzruszyła ramionami i pomyślała „No i dobrze, mam tyle pięknych rzeczy, a nie muszę być za to nawet wdzięczna. Ciekawe, kiedy zjawi się następny?”.

KULECZKA

Wilk za młodu – musicie wiedzieć, że wilki też bywają młode – nie był szczególnie przyjemnym zwierzakiem, wyznawał bowiem zasadę, że raz się żyje i nie warto tracić czasu na przejmowanie się innymi. Lubił pójść z kompanami na piwko (wilki uwielbiają piwo!) do knajpy Pod Starą Wierzba, którą prowadził Wilk Kuternoga; lubił powłóczyć się z fajnymi młodymi wilkami i wilczycami; lubił wreszcie zwalić się w barłóg i podumać o marności wilczego świata. Nie obchodziły go inne zwierzaki i ich ciężki nieraz los: płochy zajączki uciekające przed okrutnymi myśliwymi, kuropatwy cicho siedzące z oszalałymi ze strachu serduszkami, sarenki poranione przez okrutne wnyki i z otwartymi z przerażenia oczami oczekujące śmierci. Wilk wyznawał bowiem zasadę, iż życie powinno być przyjemne, a troski o innych psują tylko zabawę. Nawet Wilczyca, cierpliwa nad podziw, ubolewała nieraz nad jego płochym zachowaniem, czekała, kiedy dom stanie się dla niego miejscem najmiłszym na świecie.



...Wilk wyznawał zasadę, iż życie powinno być przyjemne, a troski o innych psują tylko zabawę...

Rys. Grześ Lendzion, lat 4

Aż pewnego razu, gdy zimową porą Wilk samopas wracał po popijawie ze swoimi kolegami, lekko się zataczając, na środku drogi, nieopodal miejsca, gdzie Bobrowy Strumyk wpadał do Ciemnej Rzeki, spostrzegł na środku drogi futrzany kłębuszek. Zaciekawiony podszedł i zobaczył zwierzątko, inne niż on, ale dobrze znane. Był to bowiem malutki szczeniaczek; Wilk pamiętał, że duże psy są przyjaciółmi groźnych myśliwych, choć i wilki, i psy miały wspólnych przodków, – ale, jak to w rodzinie, po latach miłość ustąpiła miejsca nienawiści ! Wilk miał zatem pójść dalej, gdy kłębuszek zapiszczał...

„Weź mnie ze sobą” – powiedział kłębuszek. „Zwariowałaś chyba” – odparł Wilk – jesteś psem, a one lubią tylko ludzi. Poza tym, co miałbym z Tobą robić?”. „Jeżeli mnie zostawisz” – odpowiedział kłębuszek – „zginę tutaj od chłodu. A tak, będę Ci przyjacielem. Między nami mówiąc, jestem panienką, a przynajmniej będę, bo na razie jestem dzieckiem. Czy wilki porzucają dzieci na pewną śmierć na srogim mrozie? Czy Ty nie lubisz dzieci?”

Wilk stanął i zadumał się. Do tej pory nie znał dzieci, a młode wilczyce zazdrośnie strzegły swego potomstwa, aż nie wyrosło z pieluch. Nie przejmował się też nikim oprócz może swej wilczycy i starych rodziców. Ale gdy patrzył na to małe stworzonko, coś dziwnego zaczynało dziać się z nim, czego do tej pory nie znał: serce zaczęła mu przepełniać tklivość i zrozumienie, że oto może los zesłał mu coś, czego istnienia nawet nie podejrzewał: przyjaciela, którym trzeba się opiekować, cel w jego dotąd zbyt może beztroskim życiu

„Dobra” – odparł Wilk – „jesteś fajna i wezmę Cię do domu. Nazwę Cię Kuleczką, dobrze?” i wziął ją za pazuchę, bo Kuleczka nie była większa od jego dłoni. A kiedy przyniósł ją do domu, Wilczyca spojrzała na niego z miłością, bo zrozumiała, że oto jej ukochany zaczyna być prawdziwym mężczyzną, który myśli najpierw o innych, a dopiero potem lub nigdy o sobie.

I tak też się stało, choć nie od razu. Wilk z początku narzekał często, że musi w siarczysty mróz iść do wsi po mleko dla małej Kuleczki lub wstawać w środku nocy i głaskać ją po bolącym brzuszku. Kuleczka tymczasem rosła i piękniała w oczach.

Powoli zaczęła stawać się nieodłącznym kompanem Wilka. Chodzili razem podpatrywać bobry żerujące w strumyku, podkradali się do zajęcy śpiących pod miedzą, a niekiedy nawet zapuszczali się do wsi; bo musicie wiedzieć, że ludzie i wilki żyły wtedy w zgodzie, a wstrętni myśliwi nigdy nie pojawiali się w tych okolicach.

Kuleczka coraz bardziej rządziła domem. Z Wilka wyłaziła coraz rzadziej wilcza natura i robił to, co chciała Kuleczka: chodził za nią posłusznie tam, gdzie ona (a uparta była jak stado dzikich mułów!), znosił jej smakołyki – a to chrupiące kosteczki kuropatwy, a to tłuszczyk z dzikich gęsi, a to oblepione miodem ciasteczka wypiekane przez Panią Lisicę – nosił na barana.

Najmilsze były ich zabawy, kiedy to Kuleczka delikatnie chwyciła go za nos, ciągnęła za kudły. Wilk przewracał się i udawał śmiertelnie przerażonego, a ona łąziła po nim. Nigdy nikomu Wilk, ogromny ponury zwierzak, nie pozwoliłby na taką poufałość; ale Kuleczce wolno było wszystko.

Kuleczka najbardziej lubiła dzień, kiedy spadł pierwszy śnieg. Wybiegała wtedy na dwór z Wilczej Chatki, rozpędzała się i nurkowała w zwałach białej pierzynki. Potem wyłaniała się, cała oblepiona śniegiem i znów rozpoczynała swoją zabawę. Lubiała też podróże nad wodospad, który szumiał i grzmiał, a Kuleczka szczełała na fale uderzające o brzeg, kopała rowki i patrzyła, jak wlewa się w nie woda. Nawet bobry stawały zaciekawione, czy Kuleczka nie robi im konkurencji.

Wilcza rodzina wyruszała niekiedy a to na dalekie wyprawy, a na to na wizyty u znajomych. Mowy nie było, aby Kuleczka została w domu! Nie wszyscy chętnie przyjmowali z początku chętnie moment, kiedy w drzwiach swoich domostw witali Wilczycę i Wilka, który z za pazuchy swego kożucha wydostawał Kuleczkę. Kuleczka też nie zawsze była przyjazna wszystkim znajomym Wilka. Polubiła Lisicę, która dawała jej najwięcej smacznych kąsków, z chęcią bywała u rodziców Wilka, którzy przekupywali ją smacznym jedzeniem (Kuleczka uwielbiała jeść!). Nienawidziła tych, którzy próbowali zrobić krzywdę Wilkowi, i do końca życia rzucała się na nich z furją w oczach.

Mijały lata i wydawało się, że nic nie zakłóci ich spokoju. Ale wszystko kiedyś się kończy: słońce zachodzi, mijają lata i zimy, zwierzęta i ludzie starzeją się i odchodzą. Pewnego dnia Kuleczka stała się osowiała, położyła się w kącie i przez trzy dni nie wstawała. Wilk nie odstępował jej, próbował rozweselić, dawał różnorakie medykamenty i smakołyki.

Aż czwartego dnia Kuleczka powiedziała; „Kochany Wilku, pora nam się rozstać. Byłam na tym świecie już długo, dłużej niż moi pobratymcy. Tak długo, bo miłość Twoja i Wilczycy pozwalała mi przebywać u Was ponad naszą miarę, ona była tym, co nie pozwalało mi odejść zbyt wcześnie, aby Was nie zasmucać. Ale czas już na mnie; nasz dobry Bóg chce, abym teraz cieszyła Jego moim widokiem”. To powiedziawszy, Kuleczka liznęła języczkiem starego Wilka, odwróciła się i odeszła.

Wilk stał jak skamieniały, a potem ucałował Kuleczkę, wziął ją na ręce i zaniósł pod stary dąb, obok którego znajdowała się pieczara, od niepamiętnych czasów służąca jako schronienie dla kości wilczych przodków. Tam złożył Kuleczkę, opatulił ją pięknym futrem z gronostaja, siadł obok i zaczął płakać rzewnymi łzami.

Siedział i płakał tak długie dni, nie jedząc, nie pijąc, nie wychodząc na zewnątrz. Jedyne Wilczyca zaglądała do niego, siadała obok i płakała razem z nim. Potem zostawiała go samego; wiedziała bowiem, że choć i ona kochała jak nikt zmarłego przyjaciela, to nie było miłości większej niż ogromnego Wilka i małej Kuleczki.

I byłby tak siedział Wilk w pieczarze, aż umarłby ze zgryzoty. Kiedy jednak pewnego dnia zdrzemnął się, nagle poczuł dotyk na swoim ramieniu, obudził się i usiadł. To była Kuleczka, która patrzyła mu w oczy z miłością taką, jak kiedyś, i lizała go swoim języczkiem.

„Przecież Ty nie żyjesz!” – zakrzyknął Wilk. „Mylisz się” – odparła Kuleczka – „ci, których kochamy, nigdy nie odchodzą do końca. Dobry Bóg zobaczył Twoją zgryzotę, uwierzył w Twoją miłość i pozwolił mi być z Tobą znowu. Odtąd zawsze już będziemy razem, zobaczysz”.

Wilk wstał, przeciągnął się, aż mu kości chrupnęły, uśmiechnął się i wyszedł z pieczary. Poszedł do domu patrząc na towarzyszącą mu u boku

Kuleczkę. Nalał sobie tłustego rosółu, ucałował Wilczycę, pogłaskał Kuleczkę i odtąd w Wilczej Chacie zagościł znów spokój i szczęście.

Ludzie widzieli nieraz potem starego Wilka, jak chodzi uśmiechnięty drogami i polami, lasami i wąwozami, mówiąc do siebie. „Zwariował na starość” – myśleli. Jakże się mylili! Kuleczka cały czas była z nim, choć tylko on i jego towarzyszka mogli ją widzieć. Bo tylko prawdziwa miłość jest w stanie zdziałać cuda, i tylko ten może doświadczać jej łask, kto kochał naprawdę. Nie wierzycie? Spróbujcie się przekonać...

ORZEŁ I KAWKA

Pewnego słotnego dnia, wiosną nie przypominającą zgoła tej pory roku, bo zapłakaną wielce, rozpoczął się w zapomnianej przez Boga ludzi wiosce, na skraju Wilczego Boru, niedaleko od Jeziora Rusałek, ruch wielki. Widać było, że trwają przygotowania do uroczystości niebywalej, bo też tłum mieszkańców wioski i Wielkiego Lasu chwycił się wielu niecodziennych raczej zajęć. Sierotka Marysia pisała coś w kącie, niepomna, że jej uroda wzrok wielu młodzieńców przyciąga, bo tak już wyrosła od czasu, kiedy pierwszą bajkę o niej stworzono. Kopciuszek zdecydowała się (była to bowiem także panna, wielce udatna) oderwać od pieca i wziąć wreszcie kąpiel. Królowna Śnieżka przestała stroić głupie miny i wzięła się ostro za siedmiu krasnali, aby nie plątali się pod nogami, ale pomogli w poszukiwaniach ziół i owoców niezbędnych do przygotowania uczty. Tak więc Pracuś i Ochotek poszli zbierać żurawiny na przepyszny likier, a reszta, nawet Psotek i Śmieszek zajęli się upiększaniem wielkiej chaty położonej tuż przy jeziorze, gdzie najświetniejsze uroczystości się odbywały, przyozdabianiem jej w różne malunki.

Jednakże nie tylko ludzka gromadka, ale i mnóstwo mieszkańców Wielkiego Lasu trudziło się wielce. Stary Wilk nie mógł usiedzieć na miejscu, a to przywoływany przez sierotkę Marysię, bo pisanie jej coś nietęgo szło, widać na lekcjach zbyt nie uważała, a to przez swoją małżonkę, która także wciąż jego rad i pomocy potrzebowała. Wreszcie machnął łapą, zawołał swego druha niedźwiedzia i ruszyli w puszcę podbierać miody na ciasta i nalewki, szukać orzechów w wiewiórczych dziuplach, zbierać poranną rosę do przyrządzania napojów najbardziej sposobną. Obaj też mieli od swoich towarzyszek zamówienia na materiały na suknie balowe, nawet nie takie nadzwyczajne: wiotką jeziorną trzcinę do ich utkania, księżycowe promyki do jej zeszyca, dzwonki konwalii do ozdoby.

Nikt nie próżnował ! Także ptactwo wodne: kormorany łowiły ryby na stół, żurawie znosiły raki i tylko kaczki trzymały się, nie wiedzieć czemu, z daleka od reszty wesołego towarzystwa. Lisy znosiły kurczaki podbierane w innych dalekich wioskach, borsuki budowały stoły i ławy.

I wreszcie przyszedł długo oczekiwany dzień. W gościnnym domu i przed nim zebrała się cała chmura ludzi i zwierzaków, może i wszyscy, którzy mogli, więc nawet ryby w jeziorze odetchnęły z ulgą, jak też żaby wreszcie zaczęły wesoło kumkać. Bo to właśnie było święto i dzień wolny dla ich pogromcy – Wielkiego Bociana, który też zasiadł na honorowym miejscu razem ze swą wierną i mądrą Czapłą. Zasiadł to może niewłaściwe słowo, bo i teraz, i potem dumny Bocian stał, przestępując czasem z nogi na nogę, a czasem stojąc na jednej, bo w drugiej trzymał szklanicę z nalewką na ropuszkach. Bociany, choć mało kto o tym wie, uwielbiają mocne trunki. Nie wierzycie: to dlaczego bocian rzadko stoi na dwóch nogach i rzadko kiedy przybiera wyprostowaną postawę ?

Nie będziemy opowiadać o uczcie, która z racji napojów i potraw na osobną księgę zasługuje. Nie będziemy też rozpamiętywać owej cudownej atmosfery, tańców i swawoli, w której nawet złośliwe krasnale i zazdrosne rusałki zachowywali się poprawnie. Nie będziemy cytować toastu, którzy zapewne wielu świetnie pamięta. Ja jednak widziałem jeszcze co innego ...

Otóż w kącie sali siedziała ze swą przyjaciółką, chwilami samotnie zaś, urocza Kawka. Pięknie przystrojona w szatę z liści i kwiatów nenufara, z naszyjnikiem z koralu jarzębiny, pachnąca miętą, macierzanką i konwaliami. Czarna niczym kruk, zresztą jej towarzysz na co dzień, towarzyska zazwyczaj, doskonale znana swemu otoczeniu, które doceniało jej rzadką urodę i wiotką kibić (ona sama była bardziej krytyczna, ze skromności wrodzonej zapewne). Wiadomo też było powszechnie, że kawki są najmądrzejsze ze wszystkich ptaków, a ta była niewątpliwie najwybitniejszym przedstawicielem swego gatunku; wspomnijmy tu choćby jej słynne wykłady o logice rozmytej wśród dzikiego ptactwa, czy ocenę właściwej konstrukcji gniazda kawki budowanego w kominie przy optymalizacji grubości, długości i położenia gałęzi ... Prawdę mówiąc, nawet żaden z mieszkańców wioski nie bardzo rozumiał, o czym nasza piękna Kawka mówi, ale wszyscy chętnie zasięgali jej rad.

Kawka siedziała więc i na pozór bawiła się dobrze, a to zajęta obserwowaniem, ileż to trunku zdążył pochłonąć jej Kruk, którego przed chwilą poprosiła o przyniesienie także jej smacznego napoju z zapachem

malin i pomarańczy, bardzo przez nią lubianego; a to liczeniem, którego to kolejnego gołąbka lub jastrzębia zловиła na swoje powłóczyście spojrzenia jej towarzyszka, zalotna Synogarlica. Uważny obserwator znalazłby jednak cień smutku mącący spojrzenie jej oczu.

„Czy nie bawisz się dobrze, moja droga?” – nagle z boku padło nieoczekiwane pytanie. Zadał je stojący także w kącie sali Orzeł. Kawka słyszała o jego istnieniu, ale nigdy nie widziała, a prawdę mówiąc знаła go z bajdurzeń Starego Wilka dla chętnej słuchania młodzieży. Twierdził on, że ptak istnieje, ale tylko on go zna; ma majestatyczny wygląd, ale ta władczość nie wszystkich by cieszyła; ma cenne pomysły i wielkie serce, ale także ostry dziób i szpony, więc może lepiej, aby nie zjawiał się za często. Szczerze mówiąc, nikt mu nie wierzył, stąd zaskoczenie Kawki.

„Może wiem, dlaczego, droga Kawko. Wszak i Ty masz dziś urodziny, ale Twoje towarzystwo jest wciąż nieporównanie mniej liczne. Męczy Cię to, że ze swoją mądrością nie możesz znaleźć właściwego miejsca w naszym, jakże krótkim życiu. Nudzi Cię codzienne monotonne życie, przemijanie uczuć, prawda?” – zakończył Orzeł.

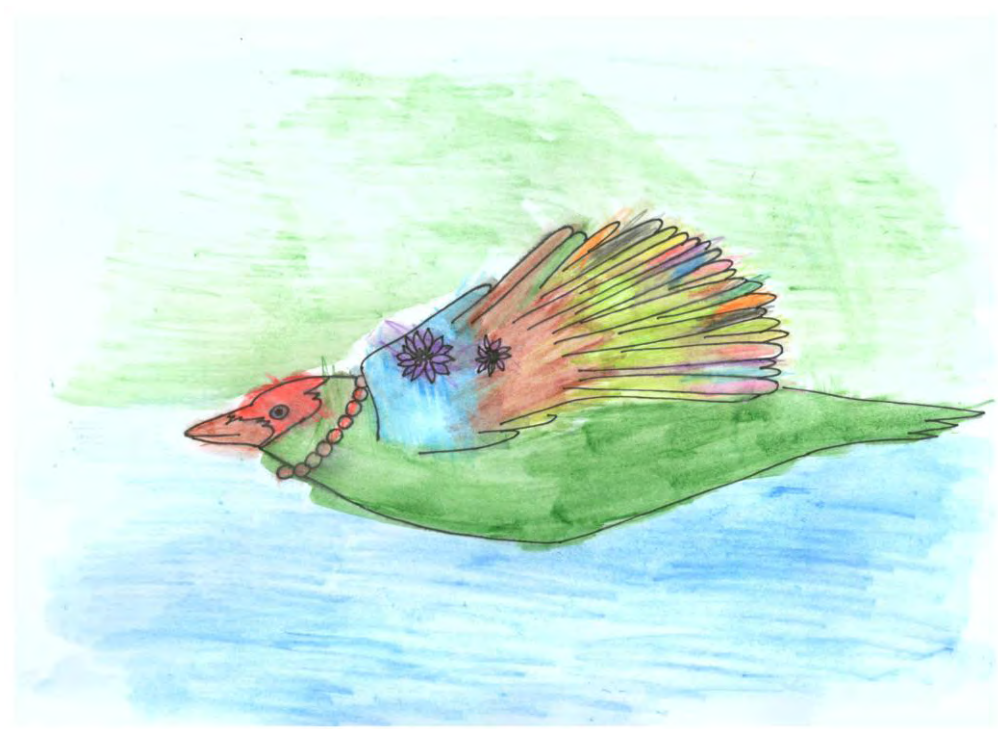
„Orle, jesteś zbyt dosłowny, jak każdy samiec, choć pewnie zbliżasz się do prawdy. Cóż ja na to jednak poradzę? Nic i jako osobka mądra, jak powiadają, nie martwię się tym, na co nie mam wpływu, najwyżej czasem mi smutno” – odrzekła Kawka.

„Mylisz się, bo w Twoim młodym wieku nie wiesz wszystkiego, nie znasz czarownych zaklęć, a ja tak. A że masz urodziny, postanowiłem dać Ci prezent niezwykajny, który nie każdy otrzymuje – cudowną, mam nadzieję, podróż na wyspy szczęśliwe” – to mówiąc wręczył Kawce pelerynę, sam założył drugą i nie czekając na koniec uroczystości wzbili się w powietrze.

Lecieli, a Kawka czuła, że dzieje się coś dziwnego, jakby z czasem podróży w przestrzeni działa się także podróż pod prąd czasu, jakby stawała się coraz młodsza. Wracały dawno zapomniane obrazy, ale nie te same, jeszcze radośniejsze, jeszcze barwniejsze ...

I działa się jeszcze coś dziwniejszego: Kawka czuła się nie jak mały, czarny ptaszek, ale jak prawdziwa kobieta, odczarowana królewna. Z lotu ptaka widziała ogromny archipelag wysp i kiedy mijała każdą z nich, coraz

inny obraz pojawiał się jej przed oczami. Nawet nie obraz; coś tak rzeczywistego, że nasza mała Kawka była w nim naprawdę, tak przeżywała ten sen.



...Lecieli, a Kawka czuła, że dzieje się coś dziwnego, jakby równoległe z podróżą w przestrzeni odbywała się także wyprawa pod prąd czasu...

Rys. Grześ Lendzion, lat 4

Oto urocza wyspa i dzień, kiedy po raz pierwszy widzi swego potomka, słyszy jego perlisty śmiech, kiedy szczęście wydaje się nie mieć końca, kiedy ocean miłości goni swe fale daleko ...

Oto następna wyspa i inny dzień: ślub, piękna suknia, oczekiwanie i spełnienie, rozkosz i rozleniwienie ...

I znów kolejna piękna zatoczka, w której opala się młoda dziewczyna, z miłością rzucając spojrzenia na jej kochanka i przyjaciela, którego dłonie rzeźbią jej ciało, a pocałunki rozpalają usta ...

Następny ład i następny sen o kimś, kto pozwala ponownie odkryć sens życia, bez kogo dzień traci słoneczny urok, czyje słowa przyspieszają rytm serca, a dotknięcia są jak bliski pożar ...

I znowu zielona wysepka z radością pierwszego pocałunku, i kolejnych

...

Odkrywasz na nowo, cudowna Kawko, na nowo to wszystko, co było; to, co będzie; to, co mogłoby być, gdyby ...

Na nowo zjawiają się zapomniane uroki, nierealne rozkosze, promyki radości, sens życia ...

Czy to może trwać wiecznie ? Tak pytała siebie Kawka frunąc nad oceanem czasu i wyobraźni.

Wiele wysp pojawiło się na trasie lotu dwojga stworów ptaków, wiele chwil niezapomnianych stało się udziałem szczęśliwej teraz bezgranicznie Kawki. I wreszcie po godzinach, a może i dniach lotu pozostał już pusty ocean, następnie skalisty brzeg pojawił się przed oczami wędrowców, wreszcie połąć Wielkiego Lasu i tuż obok przycupnięta, roztańczona dziś wioseczka. Ptaki wylądowały i za chwilę znowu były w chacie. I pierwszą postacią, która zauważyła piękna Kawka, był Kruk:

„Przyniosłem ci Twojego drinka, nawet pięciu minut to nie trwało. Lece potać trochę, muszę wypić też z kolegami, taka praca, ale Ty lepiej posiedź tu, może Twoja przyjaciółka czymś cię zabawi” – i tyle go widziała. Westchnęła, bo w istocie lubiła Kruka, choć coraz częściej nie wiedziała, czy to już nie przyzwyczajenie.

Ale coś ją zaniepokoiło i powiedziała patrząc uważnie na Orła:

„Dziękuję Ci za piękną podróż, ale powiedz, dlaczego trwała ona tak długo, a tymczasem nie byliśmy w wiosce przez kilka minut, a może nawet w ogóle nie oddalaliśmy się z niej, jak sędzę ? I gdzie mnie poprowadziłeś ? I czy jeszcze raz tam będziemy mogli polecieć ? Nie za dużo pytań ?”.

„Nie, kochana Kawko, pytań nigdy nie ma za dużo. Masz rację, byliśmy cały czas na miejscu, to tylko nasze umysły poleciały tam, gdzie króluje fantazja i pragnienie; powinnaś wiedzieć, że jestem Zaklinaczem Czasu, Przestrzeni i Pogody. To miejsce istnieje naprawdę, ale ukazuje się tylko tym, którzy w nie wierzą: to ogromny archipelag zwany Wyspy Szczęśliwe; widziałas dziś zaledwie jego drobną cząstkę. Polecimy tak odkrywać inne lądy i inne pragnienia, kiedy zechcesz, i kiedy los będzie nam sprzyjał, bo nie zawsze wiatry wieją pomyślne. A kiedyś, kiedy ja już nie będę mógł Ci

towarzyszyć, to polecisz z kimś innym, może nawet z Krukiem, jak do tego dorośnie, a może sama ... Zostawiam ci przecież cudowną pelerynkę !”.

Kawka zamyśliła się i kiedy po chwili otworzyła oczy, Orła już nie było, choć pelerynkę trzymała wciąż w kurczowo zaciśniętej dłoni. Wciąż jednak chciała odpowiedzi na szereg pytań, tak dziwne było całe to zdarzenie, więc rzuciła okiem na salę, potem zaś spytała wracającą właśnie z kolejnego tańca czy spaceru swą towarzyszkę:

„Nie wiesz, gdzie mogę spotkać dużego orła, był tu przed chwilą ?”.

„Oj, Kawusiu, masz bogatą fantazję. Orła tu dzisiaj nie było i wątpię, aby kiedykolwiek zbłądził do tej nędznej wioszczyzny; on, wspaniały królewski ptak. Z pewnością nie, choć powiadają, że zjawia się niekiedy, ale rzadko, tylko wtedy i tam, gdzie ktoś go potrzebuje całym sercem. Ale czy to prawda, czy ktoś może być aż tak naiwny ?” – wzruszyła ramionami synogarliczka i znowu ruszyła w wir zabawy.

A Kawka ... Nie wiem, bo sen mnie zmorzył i po chwili ciężka łapa mego przyjaciela Wilka poderwała mnie w powietrze:

„Misiu, czas do domku, za starzy jesteśmy na zabawy do rana” – i ruszyli.

Po chwili, już na drodze do pieczary, Wilk nagle zapytał: „Niedźwiedziu, widziałeś dziś orła ?”.

„Tak, ja go widziałem” – powiedziałem dorzucając „Wiesz, to dziwne, że tylko my dwaj możemy go oglądać, jakże jednak rzadko ! - i oczywiście ta, do której przylatuje. Ciekawe, kogo dziś uznał za istotę wartą królewskiego daru ...”

I znowu ruszyli dalej do krainy rzeczywistości, w której ludzie i zwierzęta żyją razem jak przyjaciele, bo dlaczego nie ?

DZIEWCZYNKĄ Z ZAPAŁKAMI

Wszystko zaczęło się od ognia.

W wiosce dzieciaków nie brakowało. Były różne, jak to dzieci: jedne płochliwe i bojaźliwe, uciekające przed byle jaką rzekotliwą żabą czy smyrgającą żmiją, inne gotowe w każdej chwili do boju, upatrujące wroga w łopianowych zaroślach lub w zaroślach tataraku. Łączyła je tylko chęć do zabawy, jak to dzieci.

Nasza bohaterka była inna, zostawmy w spokoju jej imię, może nie lubi, aby o niej wspominać – nazwijmy ją po prostu Tosia (choć w istocie miała inne imię ! ale nie zdradzajmy go). Od najmłodszych lat szukała okazji, aby pomóc ciężko pracującej mamie i babci. Nie w głowie były jej zabawy, wiedziała, jak ciężko jest samotnym kobietom, choć w biedzie pomagał im, kto mógł. Nieraz pod drzwiami znajdowała dzban pachnącego miodu czy kobiałkę jagód, a i nierzadko sukienkę tkaną z pajęczych nici, zdobioną suszonymi jagodami. Częstym gościem był swawolny niedźwiadek, niby przez roztargnienie pozostawiający w sieni świeżo zebrane jaskółcze jaja, niekiedy nawet przez okno wsuwała się wilcza paszcza z pięknymi nenufarami w jednej i buteleczką nektaru z dzikiej róży, pachnącego jak letni poranek na leśnej łące, w drugiej ręce. Ich uboga chatka widziała wiele życzliwych stworzeń, trzeba jednak przyznać, że każdy był ugoszczony jak należy, bo nikt nie wypiekał tak wspaniałego zbożowego placka, nadziewanego zarówno dorodnymi malinami i pachnącymi borówkami, jak też i sercem, którego nasze dzielne gospodynie nikomu nie szczędziły. A powiadają, że życie oddaje tyle, ile dasz mu ty, i tak też się stało, ale nie uprzedzajmy faktów.

Najmniej oczekiwała dziewczynka od ludzi, zatem starała się jak mogła, aby zaofiarować coś, za co ktoś dostanie inny, potrzebny im do życia produkt. Tosia była bystrą dziewczynką, więc pewnego razu poskrobała trochę drewniek, posmarowała je żabią śliną, na wierzch dodała nieco czerwieni, co tak ładnie oświetlała jej drogę w nocy, zaś kawałek kory posmarowała żółcią, która kiedyś w podzięce pozostawił jej nakarmiony do syta i pragnący się odwdzięczyć kot obieżyświat z dalekich stron, gdzie góry dymią jak kominy w ich wiosce i plują ze złości gorącym kisiem. Rezolutne

dziecko, wykorzystując zabawę stwierdziło, że potarcie tych dwóch niewinnie wyglądających kawałeczków (my teraz wiemy dzięki szkole, że to po prostu fosfor i siarka) daje płomień. A ognia we wiosce brakowało, trzeba było podsycać go całymi dniami albo korzystać z huby i krzesiwa, co wcale nie było łatwe !

I kiedy dziewczynka stanęła na rozstajnych drogach, pod kapliczką, znaleźli się szybko chętni. Niebawem w wiosce zrobiło się jaśniej i weselej, a w chatce naszych znajomych – bogaciej.



...A że była bardzo lubiana za swój perlisty śmiech i ujmującą grzeczność oraz ceniona za mrówczą pracowitość i bystrość godną najmądrzejszej sowy, to chętnych do wprowadzania jej w arkana tajemnej leśnej wiedzy nie brakowało...

Rys. Tosia Rodziewicz, lat 4

Nie dość na tym, bo sprytna Tosia szybko zorientowała się, że materiału na zapalki, bo tak je ktoś nazwał, nie starczy na długo, posłała więc najszybszego żółwia do dalekiej krainy, zaś sama zaczęła myśleć, co dalej. Myśląc wędrowała tymczasem po okolicy bliższej i dalszej, podpatrując, jak żyją zwierzęta, jak radzą sobie wierzby i jęczmień. A że była bardzo

lubiana za swój perlisty śmiech i ujmującą grzeczność, ceniona za mrówczą pracowitość i bystrość godną najmądrzejszej sowy, to i chętnych do wprowadzania jej w arkana tajemnej leśnej wiedzy nie brakowało.

Niedługo już nasza rezolutna Tosia zaczęła oferować ludziom (zwierzęta radziły sobie same bez najmniejszych kłopotów) przeróżne dziwa i niesamowitości. Nauczyła się dziewczynka z zapałkami (to przezwanie nigdy jej nie opuściło) od pająka, jak tkać koronkową szatę, która wytrzyma pięć pokoleń. Czapla pokazała jej, jak stworzyć piękne lustro z wody ściętej pierwszym mrozem. Dzięki Wilkowi opanowała sztukę sporządzania nalewek o smakach wprost nie do opisania. Bocian zaproponował jej żabi teatr, który odpędzał nudę w długie zimowe wieczory. Bóbr zaznajomił z tajnikami ciesielki, dzięki której zaczęły powstawać meble cudownie cieszące ludzkie oko. Niedźwiadek okazał się mistrzem w wynajdywaniu najśłodszych nektarów i miódów.

Tak oto niespodziewanie Tosia stała się w wiosce i w bliższych, a nawet dalszych okolicach dostawcą dóbr takich, że niesposób było ich wymieniać gdzieś na drodze, i tak powstał sklepik, pierwszy w tej biednej przecie okolicy. Sama dziewczynka (wtedy już całkiem dorosła pannica, za którą latało całe mnóstwo chłopaków, ale jakoś było jej z nimi nie po drodze, może widziała, jakie to jeszcze cielaki ?) nie dałaby rady tego zrobić, choć myślała o tym głośno nieraz. Kiedyś jednak, gdy świętując swoje urodziny, wyjechała z rodziną na kilka dni do mieszkającego już za Wielkim Lasem rzadko odwiedzanego zwierzęcego przyjaciela, po powrocie o mało nie zemdląła: tuż obok chatki lśnił piękny sklepik, zbudowany naprędce, ale solidnie przez gromadę kochających ją bobrów, stado niedźwiedzi, młode wilczęta, a nawet dzięcioły pracowicie wbijające drewniane gwoździe w sosnowe bale, których zapach długo unosił się nad jej nowym królestwem. Kiedy już osłupienie wywołane tak wspaniałym prezentem minęło, nie omieszkała napisać o tym do swego przyjaciela nie wiedząc, że ów ledwo poruszający się naówczas stwór był motorem całej intrygi, skłaniając pamiętające czasy jego świetności stado do sprawienia daru tak ważnego tej, która jako jedyna z ludzi tak kochała zwierzęta...

Ale dość o tym, każdy ma swoje pięć minut, swój prywatny dar od Boga i ważne jest raczej, jak go wykorzysta. A Tosia potrafiła zrobić to nad podziw dobrze, z korzyścią i dla okolicy, i dla swojej rodziny, choć nierzadko zdarzało się jej dawać na kredyt, którego – dobrze wiedziała ! – dłużnik nie będzie w stanie nigdy spłacić. Ale czyjeś szczęście było dla niej ważniejsze.

Gdybyż do tego jednak ograniczała się aktywność tej młodej wciąż dziewczyny (nawet nie zwierzaka !), może nie byłoby o czym mówić. Dobrze prosperujący interes nie był dla niej mimo wszystko ciekawym zajęciem i z ochotą oddała kiedyś codzienne obowiązki we władanie pięknej sarencie, bo przyciągała klientów, dodając jej do towarzystwa chytrą srokę, aby interes nie zbankrutował przedwcześnie, i pszczołkę, aby nikt się nie lenił.

A tymczasem Tosia po staremu zaczęła wędrować po świecie i szukać tego, co w nim ciekawe. Nie trwało to jednak długo, bo w ślad za nią podążać zaczął tłum młodzieży spragnionej wiedzy prosząc, aby dziewczynka nauczyła ich swej wiedzy i tego, jak ją zdobywać. I tak się stało, chcąc nie chcąc, nasza bohaterka zmuszona była założyć to, co obecnie nazywamy po prostu szkołą.

I rosły zastępy jej uczniów, a wśród nich i takich, których pomysłowość zaczęła przewyższać tę, jaka miała ich nauczycielka. I dobrze, bo inaczej mieszkalibyśmy w pieczarach. A tak jeden zawarł układ ze stadkiem złośliwych węgorzy, które w zamian za karmienie w dzień, w nocy dostarczało ludziom energii oświetlającej jakże przyjemnie ich domostwa. Drugi znów zaczął rzucać do ognia wszystkie znalezione kamienie, a następnie znajdowane ciężkie błyszczące grudki obrabiał twardym krzemieniem, i tak metale wkroczyły do wioski, a razem z nimi nowe narzędzia do uprawy roli, jakże potrzebne !

I tak mijały dni, tygodnie, wreszcie lata. Tosia stała się całkiem dorosłą panną i mężatką, bardzo szczęśliwą, jak się wydaje, choć to nigdy nie wiadomo. Wszystko stało się zwyczajne, jak zwyczajne jest życie.

Czy jednak na pewno ? Przecież nie każdy jest pracowity, nie każdy jest mądry, nie każdy potrafi kochać. Nie każdy dostaje więc szansę na to, aby nie czekać na szczęście, tylko tworzyć je samemu. Taka była nasza dziewczynka z zapalkami, nasza Tosia. Nie dziwcie się, że spotkało ją tyle

dobrego, ona po prostu na to zasłużyła. Choć nie była zwierzątkiem, wśród ludzi też bywają wyjątki ...

WIZYTA KRASNALI

Pewnego jesiennego słotnego ranka Stary Wilk wylegiwał się przed swoją chatą, czerpiąc przyjemność z rozgrzewających kości nielicznych słonecznych promieni. Myślał, ileż to pracy jeszcze pozostało do nadejścia pierwszych mrozów: uszczelnić chatę słomą, zasmolować pojawiające się tu i ówdzie szpary grożące pojawieniem się niepożądanych w jego domostwie szarych myszek, narąbać drewno. Wilk był zresztą pracowity, ale zdarzały się dni, kiedy nic mu się już nie chciało, jak to w starszych latach bywa.

I kiedy tak dumiał, od czego tu zacząć, wtem zobaczył wędrującą ku niemu, od Bobrowego Strumyka, dziwną gromadkę. Było to siedmiu niskawych, odzianych w śmieszne bufiaste stroje i czerwone czapeczki ludków, uśmiechniętych i wesoło pośpiewujących; jednym słowem siedmiu krasnali. Wilk zdumiał się ogromnie, bowiem słyszał o nich, ale przypuszczał, że to jeszcze jedna bajka, jaką babcie i dziadkowie opowiadają swoim wnusiom, kiedy te nie mogą zasnąć.

„Witajcie, krasnale” – zawołał Wilk – „to wy naprawdę istniejecie?”.

„Nie zadawaj głupich pytań” – ofuknął go najwyższy spośród krasnali - „gdybyśmy nie istnieli, to by nas tu nie było”.

„A królewna Śnieżka?” – zapytał stary Wilk – „ona też jest prawdziwa?”.

„Oczywiście!” – odparł drugi spośród nich, złotowłosey i nadzwyczaj grzeczny na pierwszy rzut oka - „Jest to nasza siostra, nasza pani i nasza miłość. Królewna Śnieżka jest najbardziej szlachetną spośród wszystkich panienek stąpających po tej ziemi. Ona to powiedziała nam, że zestarzałeś się już i, choć doskonale wiesz, co trzeba zrobić w Twoim domostwie, sił Ci nieraz brakuje. Wiele o Tobie słyszała i bardzo Cię lubi. Idźcie, powiada, i pomóżcie staremu Wilkowi, który jest o wiele młodszy, niż wskazują na to jego lata, ale jednak sam wszystkiego nie zrobi”.

Zadumał się stary Wilk, bo coraz to bardziej nie mógł uwierzyć w to, czego był świadkiem. Nigdy nie wierzył, że krasnale istnieją, podobnie królewna Śnieżka. Zaiste, dziwny jest ten świat i nie nam, śmiertelnym, oceniać, co w nim jest bajką, a co rzeczywistością... Musicie bowiem

wiedzieć, że ludzie i wilki odchodzą, ale krasnale nigdy nie umierają, podobnie jak bajki.



...„Witajcie, krasnale” – zawołał Wilk – „to wy naprawdę istniejecie?”...

Rys. Tosia Rodziewicz, lat 4

„No, dobra” – odezwał się Wilk – „a co chcecie zrobić?”.

„Wszystko to, co powiesz” – odparł trzeci z krasnali, siwowłosa i najspokojniejszy z nich – „a także to, co powinniśmy, jeżeli o czymś zapomnisz. Żywimy się owocami leśnymi, miodem, a nawet światłem księżyca, więc nie będziesz miał z nami kłopotu. Spać możemy wszędzie: pod grzybami, pod sosnami, w bobrowych norach, a niekiedy w kącie Twojej chatki, kiedy ścisną tęgie mrozy”.

I tak zaczęła się wizyta krasnali u starego Wilka. Prace zaczęła iść szybko, a Wilk tymczasem starał się być użyteczny, obserwując przy okazji wesołą gromadkę.

Prym w rodzinie krasnali wodzili Pracusiek i Psotek, stale razem i stale prześcigający się w nowych pomysłach. Pracusiek starał się być pierwszy, gdzie można było pokazać swoje niepospolite zalety; mitygował rozbrykaną nieraz gromadkę krasnali, rzucał nowe pomysły. Psotek był o krok za nim, ale wysuwał się na czoło, gdy trzeba było załatwić jakiś interes: kupić słoik miodu podbieranego pracowitym pszczołom, podkraść jajka przepiórkom, czy rozweselić swoich kompanów, kiedy przyszły jesienne deszcze, a z nimi ponure nastroje (krasnale też, jak ludzie i wilki, mają swoje humory!).

Najstarszy z nich, Roztropek trzymał się nieco z daleka, stale zaaferowany swoimi pomysłami, a były one zaiste godne podziwu. Jego to naukowym zaiste dziełem był choćby znany daleko poza granicami Wielkiego Boru nowy gont na Wilczej Chatce, starannie wypolerowany promieniami błyskającego słoneczka (jakże przypominającego współczesny laser !).

Nieśmiałek starał się nie wpadać za bardzo w oko ani staremu Wilkowi, ani swoim pobratymcom. Zapytany o coś, czerwienił się i peszył, choć był z niego wcale mądry krasnal, a i urodziwy nad podziw. Wielokroć jednak jego to właśnie rady okazywały się pomocne w odnawianiu obejścia czy naprawie drewnitni, czy szkoleniu młodzieży z tutejszej wioski.

Nie było tak wcale łatwo zrobić wszystko w gospodarstwie Starego Wilka, czy to wskutek jego wieku i wrodzonego lenistwa do prac domowych, czy to spiętrzonych przez lata zaniedbań, czy to ciągot krasnali do coraz to nowych działań. Wielką rolę odgrywał Ochotek, pyzaty i wiecznie uśmiechnięty, ciągle zabiegany krasnal o złotych rękach. Jakże mniej byłoby do podziwiania w wilczym gospodarstwie, gdyby nie upór Ochotka!

Szósty z nich, Śmieszek, potrafił także przyłożyć się porządnie do roboty. To, co jednak najbardziej lubili jego towarzysze i stary Wilk, to była jego ciągła ochota do żartów i figli. Ona to umiała chwile, kiedy zaczął sypać śnieg i trzeba było siedzieć razem beczynnie długimi godzinami, ona to pozwalała zapomnieć, że czas przemija, z każdą godziną coraz szybciej...

Ostatni z nich, Leniwek, dużo ze swej energii poświęcał na miganie się od pracy. Nieraz inne krasnale odnajdywały go wesoło śpiącego pod starym dębem, nieraz też Leniwek urywał się, aby zaprosić znajome ropuszki na partię ziemnego tenisa lub udzielać im lekcji pływania. Kiedy jednak trzeba było, i on znajdował w sobie siły do wyteżonej pracy.

I tak wesoło mijał czas, a robota postępowała. Nie tylko dlatego, że krasnale były tak pracowite, o nie ! Już na samym początku okazało się bowiem, że w istocie było ich znacznie więcej: był tu więc milczący i zatroskany swoimi chorobami Smuteczek, przemykał często ze swoim szkiełkiem wyniosły obserwator przyrody zwany Filozofem, pracowicie spisywał dzieje kolejnych dni poważny Fotograf. A kiedy Wilk zapytał, dlaczego jest ich więcej, niż siedmiu, Roztropek ofuknął go, jak miał niekiedy w zwyczaju, dodając, iż nikt rozsądny nie wierzy w stare bajdy, zwłaszcza w kapitalizmie.

A przecież i to nie byli wszyscy, bo krasnale do pomocy i rozweselenia poprosiły także stado przepięknych zwierzątek i zjaw rodem z innych bajek. Stary Wilk pasjami zwłaszcza lubił obserwować ogromną pracowitość i niezwykle talent Borsuka, wciąż z niegasnącym uśmiechem na ustach, nawet, kiedy praca i troski wydawała się go przytłaczać; nieraz zasięgał rady najstarszej Sowy, znakomicie potrafiącej poddać najlepsze rozwiązania; nie stronił od niekiedy nawet ostrych starć z piękną, ale i i zawsze czupurną Rusałką; nie unikał też towarzystwa wyniosłej, ale i mądrej Czapli; nieraz zasięgał rad Sarenki, której krasnale powierzyli jakże ważne sprawy liczenia swoich zbiorów i zachowania ich jeszcze na przednówek; z uznaniem obserwował wysiłki ślicznej, choć jeszcze tak nieopierzonej górskiej Kozicy...A obok tego, ile urodziwej młodzieży z ochotą garnęło się do kolejnych prac !

Wilcza chatka lśniła czystością, płot dumnie grodził obejście, stos drewna pozwalał przetrwać nie jedną, ale kilka mroźnych sezonów. A kiedy zjawiała się pani Zima, razem z nieodłącznym bratem Śniegiem i stryjem Mrozem, wszyscy – krasnale, ich rodzina i Stary Wilk - gromadzili się przy ognisku opowiadając uciechy, śpiewając stare piosenki, wesoło przepijając jeden do drugiego dwunastoletnim miodem.

Aż przyszła wiosna, zazieleniły się trawy, zahuczały bąki i pszczoły, zające zaczęły biegać po polach. Krasnale budziły się wcześniej, sprzątały gospodarstwo, a potem szły na wędrówki do lasu. Pewnego jednak dnia...

Wilk wyszedł rankiem na próg swej chatki i uderzył go niecodzienny widok: siedmiu krasnali siedziało w krąg na ziemi, węzłki z rzeczami spakowane, buciki świeżo wyczyszczone, poważne miny, a obok nich reszta towarzystwa.

„No, Wilku, na nas jeszcze czas” – powiedział Pracusiek - „wracamy do królowej Śnieżki. Rozmawialiśmy z nią przez komórkę i ustaliliśmy, że tak będzie najlepiej. Żegnaj, było nam z Tobą bardzo dobrze”.

„Ale, ale... nie możecie tak odejść! Za bardzo się przyzwyczailem, nie wytrzymam bez Was” – krzyknął bliski leż stary Wilk, a bardzo rzadko to mu się trafiało.

„Wilku, pokochaliśmy Cię, jak jednego z nas. No, przynajmniej niektórzy, czy raczej niektóre z nas. Ale nikt z nas nie jest panem swego losu. Nie można mieć wszystkiego, co się chce, życie to nie bajka. Ciesz się tym, że byliśmy, nie smuć się, że nas już nie będzie. Takie życie” – odpowiedział Roztropek.

„Wróćcie kiedyś jeszcze?” – z nadzieją w głosie zapytał Wilk.

„To zależy od ciebie. Gdy będziesz bardzo tęsknił za nami, królowa Śnieżka na pewno to zrozumie i pozwoli nam wrócić jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. Czekaj, wierz w to, i nie smuć się. Musimy pomagać też innym, staruszkom potrzebującym ciepła jak Ty, i dzieciom nie wiedzącym jeszcze, że świat nie jest ani piękny, ani okrutny, on po prostu jest. Ale, wiesz już teraz o tym, że piękne bajki stają się rzeczywistością dla tych, którzy choć dorośli, pozostają w swoim sercu dziećmi – przepelnionymi miłością, humorem, ufnymi i szczęśliwymi, choć reguły świata dorosłych nakazują im zachowanie powagi”.

Odeszli, a Wilk stał i nie wiedział, czy krasnale i ich cudowni druhowie byli tu kiedyś, czy też to wszystko było snem. Chyba jednak nie była to jego tylko fantazja, bo coś zostawiły po sobie: może głupią nadzieję, że kiedyś powrócą, może naiwną wiarę w to, że dobroć bywa nagradzana, może złudny cel w resztkę życia, która mu pozostała – oczekiwanie na perlisty śmiech i

wesołe zwady krasnali z marzeń. Nawet jednak, jeżeli to wszystko było tylko cudownym snem, to i tak stary Wilk czuł, że odtąd będzie często tęsknie spoglądał w kierunku Bobrowego Lasu, skąd kiedyś na pewno znów nadejdą jego zwariowani przyjaciele, jego niezapomniana drużyna...

PSZCZÓŁKA

Pszczołki to bardzo pracowity ludek. Zwijają się od rana do wieczora i to głównie po, aby nam, niedźwiadkom, dostarczać jakże smacznego miodu. Czy macie pojęcie, co byśmy zrobili bez tych stworzonek? A z czego pędziłby swój cudowny nektar mój przyjaciel Niedźwiedź?

Jak co rano, z Ula (tak w swoim pszczelim języku pszczołki nazywały schronienie, które potem przeszło także do języka ludzi, a przecież Ul to w ich języku po prostu ogromny gwar cieszących się robotnic!) wyleciała masa pszczołek. Jedne poleciały w tę stronę, drugie w inną. Przestało mnie to ciekawić, choć do dziś nie rozumiem, skąd która wie, gdzie lecieć.

I dlatego nie zauważyłem, że z tysięcy pszczołek jedna zachowuje się zgoła inaczej. Najpierw leciała równo z rojem innych koleżanek, potem zwalniała coraz bardziej, jakby zmęczona, wreszcie zostawała ostatnia i z żalem siadała na chwilę na ziemi, po czym już spacerkiem ruszała pod najbliższy kwiatek. Tam siadała na pięknie rozkwitniętym bratku czy stokrotce, chwilę possała słodki pyłek, z powrotem sfruwała w cień i układała się do snu z rozkosznie wydętym z przejedzenia brzuszkiem!

I tak działo się codziennie. Każdego dnia jej pracowite towarzyszki zbierały w pocie czoła słodki nektar, nie bacząc na ostre lipcowe słońce i wrześnie słoty, na pokonywane odległości, a ta jedna zachowywała się jak truteń. I tak trwało to latami. Aż nagle...

Każda opowiadanka powinna mieć jakiś morał, z każdej powinna wypływać jakaś wskazówka. Życie to jednak nie bajka. Choć więc chciałbym powiedzieć, jak to leniwa pszczołka została srodze ukarana, a jej dzielne towarzyszki nagrodzone, w istocie nic takiego się nie stało. Pszczołka do końca swoich dni zbijała baki i nikt jej nawet nie skarcił.

A morał? Morał też jest. Życie nagradza tych, którzy ciężko pracują i karze tych, co stronią od tego. Równie jednak często, a może nawet jeszcze częściej można nic nie robić, aby mieć życie zarówno wygodne, jak i łatwe. Zanim więc zabierzesz się do kolejnego zadania, pomyśl, może warto choć chwilę odpocząć???



...Pszczółka do końca swoich dni zbijała bąki i nikt jej nawet nie skarcił...

Rys. Ania Zaleska, lat 4

BOBROWE ŚWIĘTO

Kiedy jeszcze tęgi mróz trzymał w swoich objęciach spragnioną ciepłą ziemię i jej mieszkańców, rozpoczęły się wielkie przygotowania do Bobrowego Święta, którym była w tym roku uroczysta okragła 356 rocznica urodzin Wielkiego Bobra. Jeżeli zdziwicie się, skąd taka data, to podpowiem, że bobry liczą zupełnie inaczej lata, niż ludzie, a ponieważ są okropnie przesadne, obchodzą uroczyście tylko te rocznice, w których suma cyfr daje jedną, dwie lub trzy siódemki, nigdy inaczej !



...wśród leśnej gromady wybuchła wielka wrzawa, poszło bowiem o prezenty.

Rys. Julia Wołoszyk, lat 13

Bogiem a prawda, zanim nadszedł ów dzień, tak wyczekiwany już nie tylko przez sowy i puchacze, przez sarny i jelenie, przez wilki i zające, ale nawet przez rydzyki i pustułki, jętki i rzekotki, gzegzółki i pazie królowej, wśród leśnej gromady wybuchła wielka wrzawa, poszło bowiem o prezenty. Jedni chcieli dać bobrowi najtwardsze gałęzie z afrykańskiego tekowego drzewa, aby sobie stępił niekiedy zbyt ostre zęby, inni – kamienie na tamę jak najcenniejsze, a wśród nich onyksy, akwamaryny, beryle i topazy, choć nie wiedząc, czy mu ich małżonka podbierać nie będzie, wreszcie inni – sam

już nie wiem, koniec końców zobaczyłem tylko, jak biedny bóbr został i tak przywalony górą prezentów, całkiem z tego kontent. Sam nawet nie wiedział, że jeden będzie tak wielką niespodzianką ...

Kiedy więc przyszedł ów spodziewany dzień, zważyło się całe bractwo, głodne towarzystwa, niesyte rozmów, spragnione ujrzenia po raz kolejny przyjaciela, mimo 357 wiosny na bobrzym karku trzymającego się całkiem dziarsko. Gwarowi nie było końca, wcale smaczne przekąski i pieczone, podawane przez niestrudzoną bobrzycę cieszyły się ogromnym powodzeniem, szlachetne miody i śliwówki, także nektary z konwalii i fiołków dla wybitnych smakoszy przyrządzone cieszyły oko swoim kolorem. I wydawało się, że przyjęcie potoczy się jak zwykle i pewnie tak wszystkim się wydawało. Wtem jednak o głos poprosił Wilk:

„Szanowni goście i Ty, drogi solenizancie, słuchajcie, co mam do powiedzenia. Jak wiecie, mój przyjaciel, poczciwy i okrągłutki Niedźwiadek, jest znakomitym fotografem. Postanowił on, korzystając w minimalnym jeno stopniu z mojej pomocy, zgromadzić pamiątki w formie zdjęć i filmów ilustrujących drogi życiowe naszego Wielkiego Bobra. Wiele naprosiliśmy się w obcych krajach, aby nam udostępniono takie skarby, szukaliśmy po prywatnych kolekcjach, a nawet w zbiorach prasy. Trudno powiedzieć, aby powstał z tego zwarty film, zaledwie garść to impresji pokazująca, iż nasz przyjaciel uwielbia jeździć po nieco nam obcych krainach, a przy każdej okazji załatwić jakiś interes. Popatrzcie i spróbujcie się nie nudzić !”

Taśma ruszyła ... Cóż zobaczyliśmy ? Wiele epizodów z pobytów Bobra na swoich handlowych wożach, sporo filmowanych ukrytą kamerą, więc nieświadomy tego Bóbr dawał okazje do śmiechu, ale i podziwu.

Pierwszy epizod to dawna podróż do Niemiec. Zobaczyliśmy, jak Bóbr, jeszcze z bujną czupryną, przechadza się po Unter den Linden w Berlinie z markami zarobionymi dzięki sprzedaży jakimś łatwociernym łaniam kamienia, rzuconego ponoć przez samego Lecha w kierunku ZOMO w grudniowy poranek ...Ze zdziwieniem zrozumiałem dopiero wtedy, po co Bobrowi było potrzebne moje potrzaskane plexi z łódki, kiedy zobaczyłem lisa prosto z Anglii kupującego pudełko z napisem „Kawałek tarczy milicjanta, odłupany przez bohaterskiego robotnika”.

Druga część to uwieńczone sukcesem sprzedaże stoczni w Niemczech i Finlandii. Wielki Bóbr niezbyt nawet długo przekonywał tamtejsze bobry, morświny i foki, że skoro one same pływają bez problemów, to po co ludziom potężne statki. Sprytnemu Bobrowi udało się nawet sprzedać jedną ze stoczni w całości na złom, razem nie tylko ze statkami w budowie, ale nawet z pewnym z niemieckich bobrzyczych dyrektorów, bo kontrahent mylnie zrozumiał, co to znaczy zakuty łeb ...

Bóbr uwielbia okolice podbiegunowe. Może dlatego, że omijają go wtedy przykre domowe prace, a to przy naprawie przeciekającej tamy, a to w poszukiwaniach pożywienia. Jego wycieczka po Skandynawii, gdzie rzekomo pojechał z Bobrzycą oglądać fiordy, okazała się czymś zupełnie innym, bo Bóbr w pogoni za przyjemnością handlowania nie wahał się zwiedzić wszystkie chłodne miejsca, witając nawet dwa bieguny. W pięknej zimowej scenerii podziwialiśmy, jak Bóbr sprzedał za ogromną cenę pingwinowi kontener lodów marki właśnie „Pingwin” tłumacząc, że to w istocie świetny marketing dla jego postaci. Poszedł także drugi kontener woreczków do lodu, kiedy Bóbr wytłumaczył, że whisky należy pić z kostkami lodu nawet za kołem podbiegunowym i nawet pingwinom.

Bóbr uwielbia jednak zwłaszcza kraje tropikalne, a nawet bardzo gorące. Podziwialiśmy na urywku filmu, jak to leżąc na hotelowej plaży nieopodal swej zatopionej w słonecznej kąpieli Bobrzycy sprzedał w zamian za zmrożony Dom Perignon, rum Malibu i kosz egzotycznych owoców dwóm ślicznym szympansiczkom sekret sporządzania najznakomitszego likworu z jagód, sosnowych igieł i macierzanek tłumacząc, że szampana każdy zrobić potrafi, a nalewkę z leśnych kwiatów – niemal nikt, oczywiście obiecując także sprzedać im niezbędne wiktuały, gromadzone przez jego przyjaciół zaraz po powrocie do kraju !

Wiele było ciekawych urywków na tym filmie, Bóg jeden wie, jak zrobionych. Wszyscy znamy epizod, kiedy to Bóbr pomny, że Arabowie lubią się targować, o mało nie został zjedzony ze złości przez ogromnego marabuta, któremu chciał dać 20 razy mniej za kawałek ryby, niż ten żądał. Na Wyspach Zielonego Przylądka wdał się z tamtejszą papugą w tak ostry dyskurs, że trzeba było go ratować; biedaczysko, niebacznie chciał jej

sprzedać wagon zielonej farby do renowacji tej krainy, a w ramach demonstracji pomalować jej piórka.

Rekord pobił nasz przemiły Bóbr jednak wtedy, kiedy to – jak uwieczniło to oko kamery – zakupił akwarium piranii, a potem chciał sprzedawać rodzicom małych jako niezawodny środek do dyscyplinowania swoich pociech. Jak nie zrobisz tego, co ci kazałem, to paluszek do akwarium ! Oczywiście, to były żarty, ale zastanawiam się, czy wieści dochodzące ze świata ludzi, jako to znaleziono piranie gdzieś w jeziorach, nie mają związku z reklamówką pozostawioną kiedyś na jego biurku o treści „Dbaj o krety, użyj piranii – nic lepiej nie przetka ci kanalizacji !”.

Film trwał długo, ale cierpliwość słuchaczy mojej opowieści zapewne byłaby znacznie krótsza. Już widzę, jak to Lisica ziewa po kryjomu, Wilczyca wygląda na lekko znudzoną, Puchacz nerwowo przebiera rękami, jak to nawet mój znajomy, nie zawsze przecież wesoły Niedźwiadek, też się niecierpliwi. Skończę więc tę opowiadankę, ani nie wesołą, ani żartobliwą, ot po prostu kawałek życia i nawet nie wiem, prawdziwego czy wymyślonego. Jeżeli jednak cny solenizant postawi następną butelczynę, to my wszyscy – lisy i wilki, sowy i puchacze, sarny i jelenie, kaczki i gęsi, rzekotki i ropuchy, bekasy i jastrzębie, my wszyscy tak tłumnie zgromadzeni mieszkańcy Wielkiego Lasu przysięgać będziemy, że nasz Bóbr to największy talent wśród Handlowców. Jedno, przed czym musimy go strzec, to – aby któregoś dnia nie zamienił tego miejsca na inne. A w każdym razie – niech nie robi tego za prędko ... Na pewno przyjdziemy jeszcze na 777 urodziny, nie licząc na to, że zapomnimy !

GWIAZDKA W LEŚNYM ZAKĄTKU

Mam tyle teraz innej pracy, a sił coraz mniej, stąd i moje bajki powstają coraz rzadziej. Zresztą powiem szczerze, że takie rzeczy opowiada się pod wpływem raczej smutnych przeżyć. Popatrzcie choćby na ludzi. Mało kto umie czytać w tej okolicy, co prawda, ale te nieliczne dzieła – znacie je przecież lepiej jak wielu innych – często pisali skrzywdzeni, odtrąceni przez świat ludzie. A ja, cóż, mam rodzinę, mam przyjaciół, więc cieszę się tym nie myśląc o innych, którym zresztą nawet może nie potrzeba ramot pisanych sękata, niewprawną, wilczą łapą – zakończył Stary Wilk swoją przemowę adresowaną do goszczącej dziś u państwa Wilków mądrej Sowy, aby porozmawiać o zbliżających się Świątach Królowej Śniegu, która choć zazwyczaj pozostawała w ten czas w swoich odstępach, ale niekiedy i zabierała się razem z Dziadkiem Mrozem i Świętym Mikołajem, aby rzucić okiem na mieszkańców Wielkiego Lasu.

A pracowali razem nie nad byle czym, bo zbliżała się pora Gwiazdki. Nie tylko u ludzi, bo także, a może przede wszystkim u zwierząt jest to pora zaiste niezwykła. Zwierzaki, każdego innego dnia albo to zajęte swoimi sprawami – zdobywaniem jada, naprawą gniazd i nor, wreszcie baraszkowaniem lub wypoczynkiem na leśnym runie – albo zwyczajnie stroniące od sąsiadów, teraz nagle stawały się zupełnie odmienione. Pojawiała się życzliwość, zrozumienie, chęć wspólnej pracy i zabawy. I pewnie dlatego też Wilk razem ze swoją rodziną przygotowywali wspólną zabawę dla swojego otoczenia.

Te wszystkie wilki i łosie, żbiki i sarny, ale także kaczki i dzikie gęsi, czy nawet jeże, wszyscy oni lubili się bawić i niemal nikogo nie trzeba było zapraszać ! Gorzej, kiedy trzeba ową zabawę przygotować, wtedy trudno znaleźć było kogoś chętnego do pomocy, dziwnie okazywało się, jak to wiele pojawia się innych ważnych zajęć dla każdego z tych przemitych stworzonek. Bogiem a prawdą, czy ludzie są inni ? Nie przyganiajmy więc zwierzaczkom...

Pracę umilało im otoczenie. Pogoda była piękna, czy to o wschodzie słońca, kiedy to złote promyki muskały pyszczki i mordki zwierzęcej gromady, rozświeślały ich uśmiechy, i tak wyjątkowo piękne; czy to o

zachodzie, kiedy to samo słońeczko majestatycznie rozświetlało postać pracowitego Wilka jak olbrzyma z bajki (a przecież był to, przynajmniej, szczerze, zwyczajny kurdupel wśród swoich współplemieńców). Przyjemnie było im także popatrzeć w trakcie pracy na gromadę ciekawych dzieciaków ze wsi, niektóre rozgadane i zawsze uśmiechnięte, wesołe i wodzące rej w każdym towarzystwie, inne bardzo poważne jak na swój wiek, ale także niezmiernie dziecinne i przez to jakże ujmujące.

Pracowali więc zgodnie. Jedni dostarczali coraz to nowe przemyślnie przycinane drewnienka na ognisko, na altankę chroniącą przed deszczem, wreszcie na prezenty, które zwierzaki lubiły niemal, a może i bardziej niż ludzie, inni składali to wszystko razem, a że roboty było huk, raz po raz srogi żubr łapał jakiegoś przechodzącego stworka lub wyciągał go z legowiska, raz to pohukując na niego, a raz zawstydzając – dość, że ów chcąc nie chcąc brał się także do roboty.



... z bliska i daleka zaczęły nadciągać zwierzęta. I wreszcie pojawiła się pierwsza gwiazdka!...

Rys. Emilka Zaleska, lat 7

Wreszcie, po tygodniach przygotowań przyszedł dzień dawno oczekiwany. Kiedy tylko słońeczko zaczęło tulić się do snu, z bliska i daleka zaczęły nadciągać zwierzęta. I wreszcie pojawiła się pierwsza gwiazdka !

Olbrzymi stół, z pięknego sosnowego drzewa ugiął się pod jadłem. Czegóż tam nie było ! Była kasza prażona z miodem zbieranym z najprzedniejszych pasiek przez zapobiegliwe misie, i kapusta z grochem przyrządzona przez ptasią gromadę, i wiele innych specjałów nawet takich, jak słodkie nenufary w zalewie z brązowego klonowego cukru...Lecz nikt, nawet psotne małe potomstwo, nikt nie śmiał zbliżyć się do stołu, dopóki nie uczynił tego zaproszony przez Wilka najstarszy mieszkaniec tych ziem, olbrzymi Łoś ze wspaniałym porożem. Mówią, że pamiętał on te czasy, kiedy na tych ziemiach nie było nawet jednego człowieka, ale i teraz wśród gromady także nikt nie dostrzegłby przedstawiciela plemienia słusznie uważanego za najbardziej wiarołomne, najbardziej obłudne, najmniej stałe w uczuciach...

Lecz dość na tym, bo Łoś trzęsąc się z lekka przybliżył się do stołu, ujął w swe kopytka olbrzymi opłatek sporządzony z najprzedniejszej mąki i rozpoczął dzielenie się ze wszystkimi. Za chwilę i inni poszli w jego ślady: niedźwiedź przytulał do serca bojaźliwą sarenkę, żubr przełamał się z kuropatwą, kaczuszka szeptała do ucha rudemu liskowi. I Stary Wilk też tak uczynił, życząc swym najbliższym i dalszym, aby cały przyszły rok był dla niej czymś wyjątkowo pięknym, aby uśmiechy dzieci zamieniały go w szemrzący potok skrzący się radością, aby wdzięczna pamięć przyjaciół umilała każdą minutę jego trwania, aby wreszcie kłopoty i zmartwienia omijały z daleka ścieżki, po których będzie ona stapać, i strumyki, w których będzie szukać ochłody.

I rozpoczęła się uczta, która trwała aż do chwili, gdy zgasła ostatnia gwiazdka, bo tak każe zwierzęcy obyczaj. Inne to zwyczaje niż ludzkie, choć są i podobieństwa: ludzie świętują narodziny swego Pana w gronie najbliższych, podobnie i zwierzęta, dla których każdy jest rodziną...

A kiedy wszyscy poszli lekko znużeni spać, dobry Bóg spojrział na nich z góry i pomyślał „Jak to dobrze, że stworzyłem świat właśnie taki, gdzie miłość spotyka miłość, przyjaźń jest zapłatą za dobre uczynki, a zło bywa

rzadkim gościem. A jeżeli coś mi się nie udało, to przecież także Bóg ma chwile słabości. Ale gdy się już ocknie, to naprawi to, co nieświadomie mu nie wyszło, więc nie miejcie mi za złe, przyjaciele, i czekajcie cierpliwie, aż szczęście przyjdzie i do was”. I on teraz także położył się na boku, chrapnął i zapadł w sen. Bo czyż Bóg nie ma prawa do odpoczynku ?

Może to prawda, może nie, ale zawsze dobrze poczekać do następnej Gwiazdki, a może jeszcze do następnej, choć pewnie nie dłużej. Może wtedy pojawi się ten upragniony prezent. Dzieci wiedzą na pewno, że tak będzie; może lepiej zostać na zawsze dzieckiem ?

KACZUSZKA

Dzik nie lubił beczynności, ale jeżeli już zdarzały mu się takie rzadkie chwile, uwielbiał spędzać je nad jeziorem leżącym wprawdzie już w głębi Wielkiego Lasu, ale nie tak daleko, aby nie było go stać na chwilę forsownego marszu. Tam kładł się na wszystkich czterech łapach, opierał pysk na ziemi i mógłby tak leżeć godzinami – gdyby nie to, że pamiętał o tym, co jeszcze jest do zrobienia, a także o rodzinie niewątpliwie czekającej go z niecierpliwością. Dzik był zwierzakiem niezbyt lubianym, przepadał więc za chwilami samotności.

Cóż takiego pociągającego było w tej samotni? Dzik pozostawał niewidoczny, bał się bowiem, aby mieszkańcy Jeziora Rusalek nie wpadli w popłoch, karmieni starymi, a jakże fałszywymi bajkami, iż dziki są stworzeniami niezwykle krwiożerczymi i należy się ich wystrzegać ze wszech miar. Przypomnijmy przy okazji, że dzik był, jak wszyscy jego pobratymcy w tym świecie, kompletnym wegetarianinem. Jakże bowiem można jadać śmiertelne szczątki swoich braci?

Oczy kosmatego dzika cieszył widok najpiękniejszy pod słońcem. Nie były nim łany trzciny, rozkosznie pochylające się przy najmniejszym drgnieniu wody; nie były nim słoneczne nenufary, jaśniejsze od słońca; nie były nim nawet delikatne muśnięcia krystalicznie czystej wody, łagodnie od tysiącleci rzeźbiącej zmarszczki na złotym piasku.

Cóż więc było jeszcze piękniejszego? Dzik lubił przyrodę, czy to jako samotnik, czy jako zwierzak starannie wykształcony w słynnym Uniwersytecie na Polanie; wiedział bowiem, że te wszystkie rośliny to nasi najmniejsi bracia, czujące tak jak my ból i nieszczęście, strach i pustkę, ale także radość i szczęście. Niestety, wskutek dziwnego kaprysu Pana wszystkie one były po wieki przywiązane do tej ziemi, która dawała im życie zabierając swobodę. Niektórzy świadomie wybierają takie życie, słonecznikom i sosnom tej możliwości nie dano. Choć dzielny hobbit, który kiedyś zawędrował w te strony goniąc nie wiadomo za czym, opowiadał o tym, jak to podniebne dęby wybrały się kiedyś na wielką wojnę...ale czy to była prawda?

Dzik lubił podpatrywać jednak to, co mogło biegać, latać, nurkować, a także gdakać, gęgać, turkotać i klangorzyć. Ptactwo było dla niego tym najpiękniejszym widokiem, w czym upatrywał się głębi Boskiego umysłu: czyż bowiem nie było tak, że Władca wymieszał swego czasu nie dość starannie ciasto wszechrzeczy, z jego najsolidniejszej części stworzył ziemię i gwiazdy, dalej z lżejszej zwierzęta chodzące i brodzące, zaś z kawałka, gdzie kolorowych przypraw zostało z nadmiarem – owe pięknie upierzone białe jak śnieg łabędzie, majestatycznie kroczące czaple, śmiałe w swym locie bekasy, dumne bociany...Złośliwi mówią, że zabrakło mu już surowca i stąd do żalostnej resztki dodał nieco błota z okolicznej kałuży, gdzie zawieruszyły się trujące jagody cisu, i tak narodził się człowiek, wierzcie albo nie.

Oglądając te niesłychane dla niego dziwy raz po raz wzrok jego przyciągało stworzenie niezbyt, wydawałoby się, interesujące – pływająca tam i tu kaczka. Fakt, że piękne przejścia głębokiej żółci w lazurową zieleń na jej piórach cieszyły oko, a kołyszący się chód nie miał sobie równych, ale cóż takiego jeszcze było w zwykłej kaczce ?

Dzik miał swoje lata i w istocie szukał w swoich pobratymcach i zwyczajnie znajomych czegoś więcej niż tylko lśniących piór czy zalotnego kręcenia kuprem. Lubiał po prostu patrzeć, jak wygląda codzienne życie tego rozwrzeszczanego i ceniącego towarzystwo stadka z Jeziora Rusalek. Nieraz przychodził po cichu o świcie, aby zobaczyć przede wszystkim tę jedną, zwykłą na pierwszy rzut oka kaczuszkę, jak wyprowadza swoje małe, nieraz też podpatrywał, jak karmi swoje szkraby. Widział jednak także, jak smutna pozostaje, kiedy jej przypadkowy chyba towarzysz po chwili w domu znowu odlatuje gdzieś, lekceważąc rodzinę, nie dbając o potomstwo. Nikt nie słyszał, aby ptaki płakały, a jednak Dzikowi wydawało się, że Kaczuszka (nie usłyszał nigdy jej imienia, może kaczki nie mają imion ? i tak pozostało) roni łzy, powoli ściekające po jej pochylonej z żalu szyi...

I tak pewnie by zostało, gdyby któregoś dnia jej rozbrykany synek nie postanowił poćwiczyć szybkiego latania. I tak się rozpędził, że wbił się jak strzała w trzciny i po chwili tkwił nieporadnie z głową w mule, a z kuprem ponad wodą.

I byłby się nieszczęśnik pewnie udusił, gdyby nie to, że zakończył swój tak pechowy lot tuż obok przyczajonego dzika. Ten, długo nie myśląc, trącił go mocno swoim rykiem i wyciągnął z opresji. Malec zresztą, jak tylko zobaczył straszego dzika, podniósł wrzask i w te pędy poleciał z powrotem.

Tak przedziwnie zaczęła się znajomość dwóch całkowicie odmiennych zwierzątek, malutkiej kaczki i ogromnego dzika. Na szczęście mrukliwy olbrzym nie musiał się chyba obawiać, że słowa (zwierzęta mówią, jak już wicie, choć nie są takie gaduły, jak ludzie !) małej, nieco zaleźnionej Kaczuszki mogłyby go kiedykolwiek speszyć. Wiele czasu spędzali razem nasi przyjaciele, bo tym pewnie byli dla siebie; na tyle, na ile pozwalały im liczne obowiązki zawodowe, oboje byli wtedy jeszcze samotni (dzik taki pozostał do końca swego życia).



... przedziwnie zaczęła się znajomość dwóch całkowicie odmiennych zwierzątek, malutkiej kaczki i ogromnego dzika...

Rys. Ania Zaleska, lat 4

Kaczuszką, choć i przedtem zawsze uśmiechnięta, teraz tryskała radością. Kiedyś załamana, teraz za namową Dzika poszła na nauki w Leśnym Uniwersytecie nie zwracając uwagi na docinki małżonka i złośliwe komentarze leśnych ludków, niezbyt zadowolonych z każdego nowego członka uczzonej społeczności. I to jednak minęło, i po latach Kaczuszką ukończyła szkołę, a nawet przypadła jej rola założycielki i pierwszej nauczycielki nie tylko jej dzieci, nie tylko dorastających kaczorów i kaczuszek, ale słynnej na cały świat Wodnej Szkoły Przetrwania i Szczęścia. Sądono, że ta dość dziwna z początku nazwa szkoły wzięła się z obserwacji jej własnych maleństw, z których on lubił igrać z niebezpieczeństwem już jako malec, a ona – podobnie jak mama – zawsze wydawała się być w siódmym niebie. W istocie, jeżeli nawet taka myśl przemknęła przez główkę małej dzielnej Kaczuszki, to wiedziała ona doskonale, że każdemu stworzeniu potrzebne są przede wszystkim dwie rzeczy na tym świecie: jak przetrwać to trudne życie i jak to zrobić tak, aby dawało ono powody do zadowolenia na każdym kroku.

Ale i Dzik zyskał wiele dzięki poznaniu Kaczuszki. Ten niegdyś ponury stwór, gburliwy i bezpardonowo krytykujący (nie ma znaczenia, że jakże często słusznie!) otoczenie, złośliwy i zrzędlawy, w jej towarzystwie zdawał się łagodnieć z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Na uśmiech Kaczuszki odpowiadał uśmiechem, a z czasem sama myśl o niej powodowała grymas radości na jego pysku. Świat wokół niego nie zmieniał się, ale Dzik zaczął go widzieć inaczej.

I tak płynęły tygodnie, miesiące i lata, a ich przyjaźń – nawet w nią trudno zapewne byłoby uwierzyć widząc ich, ogromnego Dzika i drobną Kaczuszkę, należących do dwóch tak innych światów – trwała nieprzerwanie. Może wierzyli, że przyjaźń jest jak wiatr – nie zna granic i nigdy nie umiera.

Nie wiem, co stało się potem, ale to nieważne. Kaczuszką miała swoje życie, Dzik z rzadka pojawiał się ludziom i zwierzętom. Myślałem o nim niekiedy, bo też wieś zmieniła się nie do poznania i niewielu już spotykałem znajomych po tylu latach. Kaczuszką jednak nigdy nie wspomniała o tym, czy Dzik jeszcze żyje, czy go widuje. Tylko w bajkach jest zakończenie i na ogół szczęśliwe, samo życie bywa nudne lub, jeszcze gorzej, okrutne, choć

także wesołe i tajemnicze. Ot, po prostu jeden epizod więcej, jedna powiastka o niczym. Może tylko dla jej bohaterów było to coś znacznie więcej, co wspominali przez cały czas, ale czy to ważne dla czytelnika?

SYRENKA

Nieopodal Czarnego Potoka, w miejscu, gdzie kępy starych wierzb przechodziły w gęstwą wiekowych dębów, poprzetykanych dorodnymi sosnami i młodymi jałowcami, rozpoczynał się zakątek, do którego ludzie nigdy nie przychodzili, a i zwierzęcy mieszkańcy Wilczego Boru, części nieprzebytego Wielkiego Lasu, zaglądali z trwogą. Tu bowiem rozpoczynało się Podziemne Królestwo, w którym zamieszkiwali dobrodusznicy (ale nieraz i złośliwi – pamiętacie ich żarty z podrzucaniem zdechłych żab do studzien lub zamianę pięknych borowików na jeszcze piękniejsze, ale zdradliwe muchomory w kobiałkach porannych zbieraczy leśnego runa?) krasnoludkowie, zwani tak od czerwonych nochali, pamiątka niepowstrzymanej oskomy na leśny miód, nabierający mocy w ich piwniczkach. Spotkać tu można było także zwinne elfy, tak podziwiane przez bajarzy, a w istocie okropnie leniwe stwory, biegające bez celu to tu, to tam, byle tylko nie zhańbić się choćby gromadzeniem zapasów poziomek i borówek na srogą zimę. Wreszcie skrzaty, mylone często z krasnalami, ale od nich większe i całkiem gładkie na twarzach, także dzieliły tę połąć lasu z innymi leśnymi ludkami. Kiedyś ziemię tę zamieszkiwały również gnomy i gobliny, najwyższe z nich i najbardziej ponure; nie wiedzieć czemu, może po utworzeniu Trójprzymierza między trzema pozostałymi ludami, całkowicie opuściły te okolice.

Obok nich, jak wieść głosiła, Wilczy Bór zamieszkiwały jeszcze całkiem inne stwory. Były wśród nich ponoć wilkołaki, od dawna zresztą nie łaknące ludzkiej krwi, bo i one bały zarazić się przykrymi ludzkimi chorobami. Były także strzygi, często przez wędrownych dziadów mylone z topielicami. Stało się tak, bowiem strzygi uwielbiały rozkołysać łódkę płynącą po jednym z okolicznych jezior i wrzucić do wody pechową parkę, tak bardzo pragnącą nacieszyć się sobą z dala od ludzi ! W istocie jednak strzygi – zdradźmy ten sekret – były to pokutujące duchy niewiast tak swarnych i upiornych dla swych mężów za życia, że jeszcze potem musiały odpokutować swoje uczynki psocąc tym, którym prędko było do innych zgoła figli.

Mówiono o jeszcze jednych postaciach, zupełnie już niestrasznych, choć też należących do nieziemskich zjaw. Były to rusałki – piękne, zwiewne, choć często bardzo smutne, jeżeli zaś śmiejące się w jednej sekundzie, to posępne w następnej. Uroda rusałek, ich gracia i czar sprawiały, że ponoć legendarna Królowa Elfów tylko spośród nich rekrutowała swoje Damy Dworu.

Niewiele mieszkańców Wilczego Boru zapuszczało się w dalsze ostępy, poprzestając na skraju gęstwiny. Stary Wilk, choć obawiał się wielu rzeczy i zjawisk – złowrogiej klatki, myśliwego ze śmiercionośnym narzędziem, choroby, starości i samotności – jako jeden jedyny zapuszczał się dalej. Był to bowiem piechur nad piechury, który uwielbiał dalekie wędrówki, często wspólnie z uroczą i dzielną towarzyszką swego życia, Wilczycą, także z przyjemnością wędrującą z nim a to zbierać nenufary z pobliskiego oczka wodnego, a to posmakować pysznych borówek. I ona jednak bała się, kiedy gęstwiny zamykały się nad nimi, słońce z trudem zwyciężało w pojedynku z rosochatymi gałęziami, a wilgoć oblewała ich ciała, jak jesienny deszcz samotnego wędrowca na pustej drodze. Wiele razy też upominała Wilka, aby przebiegając leśne ostępy nie zmylił drogi i trzymał się ścieżynek okalających złowrogi bór.

Wilk jak zwykle, ani myślał słuchać swej przezornej małżonki, i raz po raz zapuszczał się głębiej i głębiej w nieprzebytą puszcę, oczywiście nie puszczając pary z gęby przed Wilczycą. Aż kiedyś, pewnego razu...

Wilk szedł i szedł, puszcza stawała się coraz gęstsza i ponura, ale on nie ustawał, bo w dziwnej wilczej naturze leżała chęć poznawania tego, co nieodgadnione. Tym razem postanowił więc zajść tak daleko, jak nigdy dotąd, bo dzionek był piękny, a sił mu jeszcze nie brakowało. I nagle, ku jego zdziwieniu, drzewa rozstały się, a jego oczom ukazało się piękne jeziorko. Nie było ono jednak puste: pośrodku szmaragdowo – granatowych wód kapłała się piękna kobieta.

Wilk, nie tak znów ciekawy ludzkich spraw, tym razem siadł i patrzył. Po chwili zjawa podплыnęła nieopodal i zaczęła wynurzać się. Przybysz z przyjemnością (w końcu wilk, choć zwierz, był rodzaju męskiego!) oglądał niebrzydkie kształty tak nagle zjawiającej się boginki wodnych odmętów, aż

tu zauważył, że pod parą pełnych piersi i kształtnych bioder pojawia się rybia łuska i płetwa w miejscu, gdzie niewiasty zwykły mieć parę mniej lub bardziej ładnych nóg.

Zjawa zobaczyła go w tej samej chwili, początkowo zlekła się, jak tego oczekiwał wilk, ale po chwili nieśmiało podpłynęła i zapytała:

„Ktoś ty, przybyszu? Nigdy jeszcze nie widziałam takiego dziwnego stwora. Owszem, gnomy i gobliny dokuczały mi nieraz, a i elfy lubią pluskać się ze mną, ale ani człowiek, ani ziemski zwierz nie odważył się dotrzeć tu, nad brzeg Jeziora Rusalek i Czarnego Potoku, który zeń wypływa”.

„Ja jestem Wilk, jeden z najodważniejszych przedstawicieli zwierzęcej części skraju Wielkiego Lasu. Nie lubię się chwalić, więc wyznam, że moja odwaga to w istocie ciekawość, tak niepojęta, że przesłaniająca niebezpieczeństwo. To chyba jednak nie grozi mi ze swojej strony, prawda, piękna nieznajoma? Kim jesteś właściwie? Słyszałem o rusalkach, ale czy one miewają płetwy?”



...Jestem rusalką, ale (...) kiedyś rozgniewana Królowa Elfów za karę zamieniła mnie w Syrenkę...

Rys. Tosia Rodziewicz, lat 4

„Jestem rusalką, ale moja trwożliwość – jakże zazdroścę Ci, wilku! – spowodowała, że kiedyś rozgniewana Królowa Elfów za karę zamieniła mnie w Syrenkę. Jeżeli boisz się elfów i ludzi, powiedziała, to pozostań w tym bajorze (takie były jej słowa, choć przyznasz, że jest wyjątkowo urocze) do chwili, aż nauczysz się odwagi. Ale jak mam wrócić do pierwotnej postaci, kiedy nie wiem, co to znaczy być odważną? Może będziesz w stanie mi pomóc, przybyszu, skoro znasz to słowo i jego znaczenie?” – smutno zakończyła Syrenka.

„Może będę” – powiedział Stary Wilk – „a może nie, bo wiele zależy od Ciebie. Chodź do mnie, połóż się i posłuchaj, piękna boginko. Odwaga jest czymś nie do wytłumaczenia i nie wiem, czy mój sposób Cię uleczy. Kiedyś jednak jeden z Bardzo Starych Wilków powiedział mi, jak jej szukać. Może i ja nauczę Ciebie?”

To powiedziawszy, wilk nagle nachylił się nad swoją towarzyszką i przycisnął swój wstrętny pysk do jej usteczek. Ale Syrenka, choć taka płochliwa z natury, nie zemdląła, nie uciekła z krzykiem, tylko trwała tak, aż po długiej, długiej chwili obojgu zabrakło tchu. A kiedy wilk odsunął się, nagle spostrzegł, że płetwa odpada z kibici rusalki i przed nim staje piękna, naga kobieta (leśne stwory nie znały wstydu, to tylko ludzki rodzaj wymyślił odzienia, żeby okryć swoją szpetotę – czy słowik, czapla lub sarenka noszą cokolwiek na sobie?).

„Wilku, zobacz, jestem znowu rusalką jak kiedyś! Może widać po mnie, że minęło nieco lat od chwili narodzin, ale wciąż mam trochę powabu, nie sądzisz?”

„Ależ tak, moja droga, jesteś piękna, i jesteś kobietą, leśną nimfą, bo tylko one wciąż myślą o swojej urodzie, choć nigdy jej nie tracą w oczach męskiego grona” – odparł wilk, myśląc z jednej strony o próżności piękniejszej połowy Wielkiego Boru, a z drugiej zaś z ciesząc oczy widokiem naprawdę uroczej niegdysiejszej damy dworu Elfów – „No, ale na mnie już czas, piękna Rusalko, Wilczyca czeka na pewno z obiadem ze świeżych borowików podlanych gęstą śmietaną – musisz bowiem wiedzieć, że jestem jarozsem, choć moje pazury i kły wskazują na co innego”.

„Nie odchodź, a jeżeli musisz, obiecaj, że kiedyś znowu się zjawisz. Jeżeli nawet będę zajęta – bo czuję, że wstąpiła we mnie ogromna ochota do życia, do pracy na dworze Królowej – przybędę znów porozmawiać z Tobą, bo teraz już nie boję się niczego. Powiedz mi jeszcze, bo zupełnie nie rozumiem, jak to się stało, że jedno dotknięcie Twoich warg sprawiło, że pozbyłam się ogona, który choć znakomicie pomagał pływać, to jednak szpecił moją postać, w końcu – jak widzisz – nie całkiem znów taką brzydką. Może sprawiłeś to czarami?”

„Nie, piękna Syrenko, to nie czary. Mój czcigodny praszczur, kiedy jeszcze stąpał po tej ziemi, powiedział mi, że odwaga polega na czynieniu tego, co jest dla nas nowe i w związku z tym przerażające. Odważyłaś się oddać mi pocałunek, mnie, wstrętnemu zwierzakowi, którego zobaczyłaś po raz pierwszy i którego powinnaś się obawiać. Twoja ciekawość była silniejsza od strachu, i od tej pory odważysz się robić wiele innych rzeczy, które napawały Cię dotąd lękiem. Będziesz miała pomysły, bo jesteś nie tylko urocza, ale i mądra - których nie zawahasz się wcielić w życie nie myśląc, czy inne złośliwe rusałki nie wykpią ich. Będiesz z odwagą patrzeć w lustro i nie wstydzić się zmarszczek, które zdobiją twarze nie tylko ludzi, ale nie muszą odbierać urody i wdzięku ich posiadaczkom. Nie będziesz stronić już od innych mieszkańców leśnych ostępów i przyjmować ich przyjaźni, jeżeli nawet nikt nie pojąłby, czy może istnieć coś takiego między choćby piękną rusałką, a groźnym wilkiem.”

I tak się też stało: wilk odszedł, a rusałka pozostała i powróciła na dwór. Jej odwaga, ale zarazem roztropność i rzadkie umiejętności (jej to dziełem był piękny kobierzec niszany z leśnych traw zdobionych dzwoneczkami i przetykanych jarzębiną, ona to zaproponowała zbudowanie przez Czarny Potok uroczonego drewnianego mostka, okolonego zwisającymi gałęziami; po wielu latach, kiedy już zniknął Wielki Bór i dotarło doń ludzkie plemię - uwiecznionego przez Moneta, znanego nam wszystkim malarza uroków świata) sprawiły, że szybko stała się Pierwszą Damą Królowej Elfów. I choć widywała niekiedy Starego Wilka, było to coraz rzadziej, bo jej obowiązki, a jego wiek nie sprzyjały temu. Aż wreszcie przyszedł czas na rozstanie – jej wybawca podążył w ślady swoich przodków, strudzony

ziemskimi pracami. Kładąc kwiatki w miejscu, gdzie spoczęły kości tego dziwnego zwierzaka, Syrenka przysiadła i pomyślała, jak to przedziwnie urządzony jest świat, w którym żyje: gdzie mimo swarów i dokuczań stać się mogą rzeczy niepojęte, także ze strony tych, od których, zdawałoby się, oczekiwać tego nie powinniśmy. Może sens życia zawiera się w tym, aby czekać na to, co cudowne, a odwaga, aby to spostrzec i nie odrzucić? A może na tym, aby samemu tego poszukiwać?

Ale to tylko bajka, droga Rusałko. Czyż jednak życie nie jest wielką bajką, której tylko my, straszni dorośli żyjący w okropnym realnym świecie, bez zjaw i zwierząt mówiących i czujących jak my, tylko znacznie miłszych, nie potrafimy dostrzec? Który świat lubiłabyś bardziej?

NIEDŹWIEDŹ

Co mogło połączyć ze sobą dwa tak różne stwory ? Właściwie los, bo wcale nie były to zwierzaki odmienne, a łączyło ich wiele. Oto siedzieli obok niedźwiedź zwany europejskim – przypomnijmy, że to domena eukarioty, typ strunowce, podtyp kręgowce, żyworodny ssak ze szczepu łożyskowców i rzędu drapieżnych, a obok wilk, dokładnie tak samo określany przez zarozumiałych naukowców.



...niedźwiedź zwany europejskim ...

Rys. Kinga Ossowska, lat 10

Spotkali się dwaj przyjaciele dawno już temu i mnóstwo razem przeżyli. Niedźwiedź zaszczepił w wilku umiłowanie miodu, bo wszak jego nazwa w ludzkim języku oznacza właśnie zwierzę lubiące miód. Co prawda raczej napoju uzyskiwanego po długim oczekiwaniu na pojawienie się w nim owego cudownego składnika, co rozjaśnia umysł, cieszy podniebienie i polepsza humor ... Do dziś mogli obaj uczenie i godzinami rozprawiać, jakie składniki należy dodawać w trakcie fermentacji brzezki miodu lipowego: chmiel, cynamon, wanilię, jałowiec, goździki, imbir, pieprz, płatki róży, liście mięty, cytrynę, migdały, czy skórkę pomarańczową. A gdyby ich ochota do

próbowania nie była tak wielka, może i wy posmakowalibyście niekiedy dereniaka, poziomczaka, czy miodu makowego...



może i wy posmakowalibyście niekiedy dereniaka, poziomczaka, czy miodu makowego...

Rys. Marcin Żurek, lat 11

Wilk określający się często jako samotnik w istocie przepadał za swoim stadem, za rodziną, ale i za pieszymi wędrownkami, w które wciągnął swego czasu niedźwiedzia; wszak wilk potrafi przejść dziennie i sześćset wiorst w pogoni za kolejną partnerką. Nawet lubili to samo jadlo, nade wszystko ryby, choć często na ich stołach pojawiały się w zamierzchłej przeszłości smacznie sporządzone mniejsze zwierzątka. Choć był to bowiem Wielki Bór, to jednak walka o byt, o przetrwanie powodowała, iż polowania były swego czasu normalnym sposobem na życie, ale miały swój cel, a jakież cel mają bezmyślne wojny toczone przez ludzi z powodów tak dziwnych, że niekiedy nawet zapomnianych ?

Przygód mieli razem wiele, choć nie o wszystkich rozmawiali głośno. Wyglądało nawet, że ich życie było nudne, ale to tylko pozory. Łączyło ich jeszcze jedno: obaj mieli umysły przedziwnymi chadzające drogami. I kiedy siedzieli dziś razem z przyjaciółmi, obchodzącymi hucznie okrągłe urodziny naszego Niedźwiedzia, ten wspominał stare czasy i zastanawiał się po cichu, co by było, gdyby ...

Kiedyś kończyli razem Leśny Uniwersytet i to niedźwiedź dostał propozycję pozostania na nim w celu rozwoju sztuki alchemii. Wolał jednak podjąć niełatwą sztukę wytwarzania wraz z niestrudzonymi bobrami owych pływających domów dla ludzi chętnie współpracujących z niedźwiedziami, bo te wszak wybornie i z ochotą pływać lubią. Ale gdyby było inaczej, kim byłbyś, niedźwiedziu, ze swoim chłodnym i logicznym umysłem, może to Ty, a nie wilk, spędzałbyś długie godziny na nie zawsze najciekawszej pracy administratora, wykładowcy nauk nie zawsze ciekawych, specjalisty od wiedzy tak tajemnej, że często niezrozumiałej nawet dla tych, którzy się nią parają ? Czy to tak cię odstraszyło ?

Kiedy wilk przedzierał się przez życie wspólnie ze swoją towarzyszką, wszak uwielbiają one żyć parami w stadzie upatrując sposobu na przetrwanie, Ty, a nie wilk, pędziłeś życie samotnika. Gdybyś kiedyś nie wpadł w oko energicznej niedźwiedzicy, co robiłbyś dziś, może popijał samotnie i myślał o sensie lub bezsensie życia ? A tak miałeś i masz co robić, wspominając dorastanie potomka rodu i z uwagą kształtując jego drogę w życie, mimo przeciwności losu...

A co byłoby, gdyby kiedyś, kiedy nie było łatwo zostać członkiem rzeszy studiujących na Leśnym Uniwersytecie, były takie czasy, los nie zetknął już na początku obu przyjaciół dzięki ich umiłowaniu matematyki, królowej nauk. Czy bylibyśmy, dobroduszny niedźwiedziu, dziś razem, popijając słodki miód ?

A Twoja przygoda, wielki niedźwiedziu (wielki jedynie duchem, bo choć niedźwiedzie potrafią ważyć i 12 pudów, ten nie dostawał nawet do połowy tego), w dalekiej krainie ? Czy, kiedy Twoi biali bracia namawiali cię do wspólnych interesów, nie lepiej było ich posłuchać wymieniając dziś leśne jagody na piękny polarny śnieg, rodzime gołąbki na sybirskie pieliemienie z cebulką i pieprzem ? Może byłbyś już królem tych zimnych krain ?



nie było łatwo zostać członkiem rzeszy studiujących na leśnym uniwersytecie...

Rys. Marcin Żurek, lat 11

Nie były to jedyne przygody, ale o innych przyjaciele milczeli, a może i istotnie nie było ich wcale. Co prawda, ludzie i zwierzęta wspominały niekiedy, jak to bezczelni i co bardziej rozgarnięci w posługiwaniu się gęsim piórem ludzie przywłaszczali sobie ich wspólne przeżycia, nadając bohaterom dla niepoznaki człowiecze rysy. I tak, Robin Hood wcale nie żył w lesie Sherwood jako księżę złodziei, bo też żadne pisane źródła o tym nie wspominają; to jedynie fantazja ludzi, mocno rozzłoszczonych na nieznanego osobnika podkradającego im świeże ryby i inne smakołyki, stworzyła Robina, wstyd bowiem było głośno powiedzieć, iż są oni mniej rozgarnięci niż niedźwiedzie, a dokładnie jeden z nich, dziś tu siedzący. A sądzicie, że Ali-Baba istotnie dowodził watahą 40 rozbójników gdzieś w dalekiej Arabii? Przecież Ali Baba nie był w ogóle według opowiadania pięknej Szeherazady rozbójnikiem, a jedynie prostym rzemieślnikiem, który dzięki usłyszanemu zaklęciu podkradł zbójnikom ich skarby! Królowa nieco to poplątała, bo to przecież niedźwiedź domyślił się cudownego zaklęcia, co prawda po wcześniejszym wypróbowaniu milionów permutacji i kombinacji, jak to matematyk z zamiłowania, a wilk przywiódł jedynie swoje stado, aby wynieść owe skarby. Nie wiadomo jednak, czy nie były to nieprzebrane i wartościowe łupy, czy altruizm obu przyjaciół przeważał, wszak już jako Robin Hood

niedźwiedź wszystko rozdawał - dość, że w ich domostwach nie było nawet jednej spinki, jednego pierścienia wyniesionych z Sezamu.

I tak rozmyślał niedźwiedź nad tym, że naszym życiem w istocie rządzi król Przypadek i królowa Chaos. Nieznaczące odchylenia powodują, że realizujemy jeden scenariusz, nigdy nie poznając milionów i miliardów innych. Nieznaczące odchylenie w najbliższej godzinie Twojego życia może spowodować efekt motyla: jak byłoby, gdybyś pozostał na uniwersytecie, niedźwiedziu, kto dzieliłby z tobą stół i łóżko? a przecież wszystko zaczęło się od jednego słowa „nie” ... A co byłoby, gdyby stała grawitacji była nieco mniejsza, gwiazdy rozpieczęłyby się po niebie i nie powstałyby galaktyki, albo nieco większa i wtedy powpadałyby na siebie, nie byłoby Ziemi i nas ...

I tak myśląc chciał niedźwiedź postawić czarę z miodem na stole (bo trzeba wam wiedzieć, że i niedźwiedzie, i wilki nie lubią wcale jadać na ziemi!) i wtedy, w ostatniej chwili zobaczył leżącą na stole pestkę wisienki z nalewki, upuszczoną przez nieuwagę zapewne przez swoją towarzyszkę. I znowu zaczął myśleć: „Gdybym postawił puchar, zapewne przechyliłby się i wylał. Moja niedźwiedzica chcąc ratować piękny obrus z morskich traw przetkany złotokapem rzuciłaby się na ratunek, ale potracając przy okazji świecę, tak cudnie pachnącą macierzanką i peonią, i powodując w istocie niewielkie zatlenie tegoż skrawka materiału. Byłoby to bardzo przykre i zapewne nasłuchałbym się później gorzkich słów, ale to fraszka, gdyby mój nieco niezgrabny przyjaciel wilk w tej samej sekundzie i w tym samym celu nie zrzucił świecy na podłogę. Od niej to bowiem zajęłyby się piękne modrzewiowe deski podłogi i po chwili mógł już płonąć dom. Pomogło na szczęście polewanie szampanem ze złotych winogron, przyniesionym przez rosomaka, ale cóż, kiedy ten nie dość, że zmoczył przy okazji wszystkie niewiasty urządzając przy okazji konkurs na Miss Mokrego Podkoszulka, i wcale je to nie ubawiło, to jeszcze zakrztusił się ością z dorodnego łososia i trzeba było zacząć ratować i jego...”

„O czym to myślisz, mój mężu?” – usłyszał nagle Niedźwiedź. „O niczym szczególnym, kochanie, tylko o tym, że choć życiem rządzi przypadek, to i my potrafimy nim też rządzić, i obracać koło fortuny tak, aby służyło naszemu szczęściu i pomyślności”. To powiedziawszy położył pesteczkę na swoim

talerzyku i powoli, starannie odstawił naczynie. „Napijmy się zatem, przyjaciele, za to, że wygrywamy jeszcze na loterii, jaką nam codziennie, co godzinę i minutę urządza nasz wielki Stwórca. I za nasze zdrowie, i za spotkanie, oby było ich jeszcze wiele ...”.

URODZINY KRÓLOWEJ ELFÓW

Wśród nieprzebytych gąszczy Wielkiego Lasu i chaszczy Wilczego Boru leżącego na jego skraju, nieopodal domostw małej, zapomnianej przez Boga wioseczki, nie mogło dziać się nic tak wielkiego, aby wieść o tym rozchodziła się szybko. Prawda, na co dzień wiało raczej nuda, i stąd i zwierzaki, i ludzie często i długo rozprawiali o zdarzeniach dla nich niecodziennych: a to, że w wiosce urodziło się kolejne maleństwo, a to, że jeden z wilków złamał nogę próbując po kryjomu dogonić młódkę, a to, że rosomak wybiera się znów nad dalekie morze popatrzeć na wieloryby wesoło w nim płasające, a to, że młodzi nie chcą stać się dorosłymi, a starym wydaje się, że wciąż są młodzi... Nie wszyscy chętnie brali w tym udział, prym wiodły panie, i często można było zobaczyć pogrążone w wesołych plotkach zarówno urocze przedstawicielki rodzaju ludzkiego, jak i nadobne sowy i wiewiórki, sarenki i lochy, niedźwiedzice i wilczyce, syrenki i czarownice – albowiem niepohamowana skłonność do mówienia, jak też osobliwy dar wypowiedzenia błahych przecie słów w jakże czarowny sposób właściwy jest wszystkim samiczkom, niezależnie od tego, w jakim stadle one żyją!

Nie dziw więc, że najbardziej wszystkie je cieszyło, kiedy jedna z wielu plotek okazała się prawdą. Tę przyniosły syrenki, rzadkie nad Czarnym Potokiem, bo zamieszkujące Jezioro Rusalek, ten ostep lasu, którym władają Król i Królowa Elfów.

Jezioro Rusalek było szmat drogi od wioski, ale prawdę powiedziawszy, mało kto odważył się zapuszczać nad nie w obawie przed strzygami, czarownicami, gnomami i goblinami, którzy są niepomniecznie złośliwi. Prawdę powiedziawszy, nikt z ludzi, a wydawałoby się, także ze zwierzaków, ale nie było całkiem tak: Stary Wilk bywał tam kilka razy w tajemnicy przed swoimi, widywał także przemykającego żubra i niedźwiedzia, a także inne odważne stwory. Nikt się jednak tym nie chwalił, bo choć ich połowice cieszyłyby się zapewne z odwagi swych lubych, to przecie skarciłyby ich natychmiast mówiąc „A po coś tam szedł?”, gdyby coś nie daj Bóg im się stało. Taka jest bowiem kobieca natura, pełna sprzeczności, co życia nie ułatwia, ale nadaje mu jedyny w swoim rodzaju wdzięk nieprzewidywalności.

Syrenki były też rzadkością w Wilczym Lesie i ta, piękna i lekko zwariowana (dlatego Król Elfów ją właśnie poprosił o zaszczyt zostania jego posłanniczką), zgodziła się bodajże jako pierwsza odwiedzić ten zakątek. Wieść, którą przyniosła, została napisana pięknie na brzoźowej korze i przyozdobiona malunkami wielce udatnymi. A była to nowina, która poruszyła wszystkich, bowiem Król Elfów postanowił wyprawić swojej małżonce bardzo hucznie 50-te urodziny.

Choć ucieszyli się niezmiernie wszyscy zaproszeni, ludzie i zwierzęta, to jednak niektórzy z nich zadziwili się wielce, słyszał kto bowiem, aby Elfy, które żyją tak długo, że od setek lat nie słysząc, aby ktoś z nich odszedł, i którzy nigdy się nie starzeją, cały czas zwawo przebiegając knieje w poszukiwaniu boskiego kwiatowego nektaru i okazji do psot – aby te leśne skrzaty świętowały nadejście zaledwie szczenięcego wieku?

Kiedy przyszedł oczekiwany dzień, hurmem ruszyli wszyscy zaproszeni – watahy wilków, niedźwiedzie i lisy, zwierzaki znad Czarnego Potoku, a nawet co bardziej sympatyczni mieszkańcy wioski. Szli długo, ale pod wieczór, kierowani przez ponętne syrenki (Wilk nie zdradził, że wie, gdzie jest Jezioro Rusalek i piękny Elfowy Pałac), wreszcie dotarli na miejsce.

Tu przywitała ich Królowa Elfów (jej małżonek z rozwianym włosom tak latał doglądając a to wypieku kuchennych smakołyków, a to starań nadwornego kronikarza, że nawet nie zauważył nachodzących gości) prowadząc na miejsca. I rozpoczęła się uczta, zabawa, swawole, i tak trwało to aż do rana, kiedy to rozeszli się wszyscy zadowoleni, że wzięli udział w tak pięknej imprezie.

Jednakże, choć tak to wyglądało, zdarzyło się coś jeszcze, czego nikt nie zauważył. Kiedy zabawa trwała w najlepsze, Królowa Elfów raz po raz spoczywała u boku swego małżonka, coraz bardziej zmęczona, a może – kto wie – znudzona, bo też była ona kapryśna nad wyraz, jak to królowe mają w zwyczaju. I nagle usłyszała obok czyjś głos mówiący „Czy zatańczysz ze mną, Królowo?”.

Spojrzała zaskoczona. Przed nią stał piękny, wspaniałej postury i prezencji motyl, mieniący się wszystkimi barwami tęczy. Delikatnie ujął ją w ramiona (król łaskawie skinął głową) i ruszyli w tan.



...Przed nią stał piękny, wspaniałej postury i prezencji motyl, mieniący się wszystkimi barwami tęczy...

Rys. Tomek Rodziewicz, lat 6

„Bawisz się dobrze, Królowo? Czy też, wydaje mi się, na Twoim liczku przemykają cienie zmęczenia, smutku, a może i znużenia?” – zapytał motyl.

„Co też opowiadasz, młodzieńcze!” – gniewnie odparła Królowa – „bawię się znakomicie, pośród grona tylu przyjaznych mi osób, wśród tłumu zaproszonych. Niczego mi nie brakuje”.

„Na pewno masz rację” – poważnie odrzekł motyl – „ale pozwól, może dla odmiany pokażę ci coś jeszcze, czego nie otrzymałaś w prezencie. Niech to będzie mój dar dla ciebie”.

I, kłaniając się dwornie, poprosił ją, aby usadowiła się wygodnie na jego grzbiecie i ścisnęła mocno ramionami szyję, po czym wzbił się w powietrze.

Lecieli długo, a Królowa z ciekawością oglądała świat. Jej oczy przyciągnęły najpierw sarenka z jelonkiem, delikatnie dotykające się

pięknymi szyjami, jak zakochani. Potem zobaczyła dwie kumkające na sobie żabki, a dalej brodzące w poszukiwaniu żeru, ale zawsze blisko siebie czaple i żurawia. W oddali, na bezkresnym Morzu Złudzeń, pływały wzbijając fontanny wody dwa białe wieloryby, rzadki przecie widok i, prawdę mówiąc, Królowa miała okazję zobaczyć je po raz pierwszy. Oglądała z zaciekawieniem parę łabędzi przemierzających majestatycznie staw, groźnego dzika i lochę z małymi, a nawet, wydawało jej się, dostrzegła na bardzo już dalekiej Pustyni Spokoju pręgowanego drapieżnika i jego leniwie przeciągającą się towarzyszkę.

Mijały długie chwile w powietrzu, a Królowa syciła swoje oczy widokiem spokoju, rodzinnego szczęścia, miłości. Aż wreszcie dostrzegła całkiem niedaleko, u stóp wodospadu, parę młodych trzymających się za ręce i wesoło o czymś rozprawiających. Kiedy dziewczyna obróciła ku niej twarz, Królowa krzyknęła: to była ona, piękna młodzieńczą niewinnością i oczekiwaniem na nieznane, rozpromieniona i ufna.

Ale motyl zawrócił już z powrotem i po chwili zgrabnie wylądował tuż obok Króla.

„Mam nadzieję, że spodobała ci się nasza wycieczka, Królowo, wycieczka w głąb dalekich krain, a może i w czasie. To był mój dar, więc dołożę do niego jeszcze jeden drobiazg: możesz sama odbywać takie wycieczki, kiedy tylko tego zapragniesz; wystarczy zamknąć oczy i głęboko myśleć, aby osiągnąć Krainę Marzeń, którą dziś widziałaś. I nie dziękuj mi za nic, to nie przystoi prawdziwej Królowej. Zresztą, jestem Paź Królowej, więc taka była moja powinność” – powiedział to, uklonił się raz jeszcze i odfrunął.

Królowa usiadła na tronie i po chwili zadumy powiedziała do swego małżonka:

„Wybacz, mój drogi, tę długą nieobecność. Wyobraź sobie, że odbyłam cudowną podróż, na którą zabrał mnie ten piękny motyl”.

„Kochana, przykro mi to mówić, ale byłaś przy mnie cały czas i Twoje przymknięte oczy wskazywały, iż zmęczona postanowiłaś odpocząć chwilę, a może pograć się w marzeniach. I dobrze, bo zabawa jeszcze trwa. A choć zaprosiłem tylu gości, to motyla na tej liście na pewno nie było, jestem pewien, i nikogo takiego nie widziałem” – zakończył Król.

„Może i nie było, może mi się to wszystko przyśniło” – pomyślała Królowa – „ale czy naprawdę wiemy, co jest snem, a co rzeczywistością?”. I tak skończywszy rozmyślenia na ten temat, schowała do swej torebki kawałeczek pięknie mieniącego się motylego skrzydełka, które przyczepiło się do jej ślicznej, utkanej z porannej mgły i ozdobionej nenufarami sukienki...

PIEKŁO I NIEBO

Wilk siedział na polanie, otoczony mnóstwem zwierzęcej młodzieży spragnionej wspólnej zabawy. Wilk był już raczej w podeszłym wieku, więc po krótkim czasie gorączkowo zaczął myśleć, jak tu uniknąć trudu. O ile jest ktoś na świecie, kto potrafi dać sobie radę z dziesiątką rozbrykanych dzieciaków... Wilk miał na to sposób; opowiadał im bajeczki, na tyle zajmujące, że gromadka słuchała z otwartymi ustami. No, może nie zawsze ...

„O czym wam dziś opowiedzieć ?” – zapytał. „Wszystko jedno, ale nie o czarnej dziurze, nie mogłam spać całą noc !” – pisnęła Mysz. „No, to posłuchajcie ...” – odparł Wilk.

„Każdy z ludzi i zwierząt żyje po tysiackroć (zwierzęta nie znają słowa „nieskończoność”). Ja tak naprawdę teraz jestem wilkiem, a przedtem byłem dość potulnym niedźwiadkiem, a jeszcze wcześniej człowiekiem, który niemało nabroił. Kiedyś, w poprzednich wcieleniach (a mamy ich mnóstwo, choć rzadko pamiętamy, czym byliśmy poprzednio) byłem może wielkim księciem, ubogim drwalem, zwinną kuną, a może tylko żdźbłem trawy? Ale choć mamy mnóstwo wcieleń, rzadko pamiętamy te wcześniejsze.

Nie przechodzi się jednak z jednego wcielenia do następnego tak łatwo, bo dobry Pan musi jakoś zagospodarować te wszystkie duszyczki, więc trzeba czekać, czasem krótko, czasem dłużej. A czeka się w piekle, w niebie lub w czyścicu, który jest w istocie ogromnym przedpokojem, bez prasy i telewizji, więc nudno tam ogromnie.

Kiedy tak siedziałem ostatnio, co doskonale pamiętam, mój towarzysz, utrudzony łoś, objaśniał mi, czym jest piekło i niebo. To pierwsze nie ma wcale gorącej siarki ani kotłów ! To po prostu tylko mało wytworne biuro z mozolną i zupełnie nieinteresującą pracą, od 7.30 do 15.30, z kierownikiem (tu, nie wiem, dlaczego, jego etatowa nazwa to Diabeł) stojącym wciąż za plecami i burczącym nieustannie. Wszak Bóg nie może pozwolić sobie na prawdziwe piekło i utratę tylu duszyczek, kiedy wciąż ogrom zadań do wykonania – więc do tej najgorszej harówki zsyła najbardziej

zatwardziały grzeszników. Jest tam też i niebo: piękne miejsce z łąkami i lasami, potokami i źródłami o kryształowo czystej wodzie (na ziemi ich już nie uświadczysz), a co najważniejsze: z biurem podróży do dowolnego zakątka kosmosu, gdzie można oglądać zupełnie za darmo piękne obłoki świecącego gazowego wodoru, walkę dwóch galaktyk, ostatnie chwile czerwonego karła – tak, jak to stworzył Władca Czasu.



Nie przechodzi się jednak z jednego wcielenia do następnego tak łatwo, bo dobry Pan musi jakoś zagospodarować te wszystkie duszyczki, więc trzeba czekać, czasem krótko, czasem dłużej.

Rys. Staś Czerepak, lat 4

Jeżeli jednak Bóg, nasz nieomylny Szef, zobaczy przed swoim obliczem kogoś, kto zgrzeszył w różny sposób, ten musi odpokutować swoje czyny intensywną pracą. Prawda, że moje przewiny nie były zbyt ciężkie, więc dostałem posadę całkiem niezłą: anioła – stróża (w naszej biurowej terminologii nazywamy to Opiekunem) w pewnym wcale uroczym zakątku

ziemi. Pod swoją pieczę wzięłem kilka ludzkich i zwierzęcych stworzonek (kwiaty i zioła mają duszę, ale nie grzeszą, więc po co im opiekun ?); kilka, bo za mało nas wciąż, aby poprzestać na jednym, ale nie narzekam, stąd właśnie tak dobrze znam losy wielu różnych istot. Na osłodę Bóg, znający moje niepoprawne ciagoty, dodał mi dzielną i powabną towarzyszkę oraz całe grono fantastycznych przyjaciół. To, co do mnie należało, to nie było wiele, ale jakże trudne! Kierować losami moich podopiecznych tak, aby było im jak najlepiej w ich ziemskich żywotach, a zarazem - ich umysłami po to, aby czyniły dobro. To ja nieraz sterowałem dyskretnie krokami wielu mieszkańców tego lasu ...

A nawet, jeżeli uważacie, że fantazjuję i wcale nie jestem taki wszechmocny, to uwierzcie, że choć piekło i niebo nie są takie straszne, i tak trzeba żyć dobrze, lubić zwierzęta i ludzi, myśleć o nich, a nie o sobie, i nie dlatego, że grozi nam coś strasznego” – zakończył Wilk.

I spojrział na swoją gromadkę, ale cóż, bajka krótka, ale nie była zajmująca, wręcz nudna, więc wszystkie urwisy leżały pokotem na ziemi, pogrążone we śnie – i mysz, i lis, i jelonek, i baranek, wszyscy bez wyjątku. Czy zresztą nie to chodziło wilkowi ?

DWÓCH CHIŃCZYKÓW O KOBIECACH I LOGICE ROZMYTEJ

Piaszczystą drogą, wijącą się między granitowymi skałami, gdzieś w jednej z północnych prowincji wielkiego państwa chińskiego, wędrowało dwóch mężczyzn. Pierwszy z nich całkiem dziarsko, choć przekroczył już już pewnie osiemdziesiątkę, a trzymany w ręce kostur służył mu raczej do dodania powagi. Długi warkocz wywijał się na obie strony przy każdym kroku, zszarzała suknia kołysała w górę i w dół, tobolek obciążony zapewne nędznym jedzeniem i odrobiną wody zawierał także uczone książki, bo na oko był to jeden z mędrców, tak głęboko szanowanych przez chińską młodzież. I właśnie dość chuderlawy młodzieniec był i tu jego towarzyszem, wiecznie skacząc to z jednej strony na drugą, to wypatrując wróbla czy jaskółeczki w skwarnych niebiosach, snadź rozpierała go radość życia, a może i duma, iż sędziwy filozof pozwolił mu być razem tego dnia.



...wędrowało dwóch mężczyzn

Rys. Julia Wołoszyk, lat 13

Mędrzec mówił mało, a zgodnie z chińską zasadą – nie mówił niepytany, wiedząc, że słowo jest równie cenne jak ryżowy placek w porze zimowej i nie należy nim szafować bez miary. Przeciwnie, młokos zdaje się zalewał go pytaniami bez przerwy, chcąc skorzystać z tak rzadkiej sposobności.

Zbliży się i my niepostrzeżenie, i baczmy, o czym też wiódł dyskurs.

„Mistrzu, mam kłopoty z kobietami, czy mógłbyś mi coś na to poradzić? Nie rozumiem, czego chcą ode mnie i czego stanowczo nie. Czy ja jestem taki głupi?” – powiedział młodzieniec.

„Mądry to ty nie jesteś w tym wieku, ale wiedz, że wielu zadaje sobie to pytanie nawet w bardzo podeszłych latach” – odparł mędrzec, nerwowym ruchem odganiając zarazem muchę próbującą swym bzykaniem zakłócić jego niezmacony spokój. „Tylko my, mędrzy z dalekiego kraju, wiemy, czym kierują się kobiety i jak postępować z nimi. Bez nauki – ani rusz.

Otóż zadając takie pytanie zapominasz o pierwiastkach yan i yin, rozumie i emocjach. My, mężczyźni, kierujemy się rozumem, one – emocjami niepodlegającymi logice. Aby było trudniej, każdy z nas ma nieco yin, a wiele kobiet – yan. Tak powiedział Con-fu-cien, ale myśmy podążyli tym śladem, jednakże udoskonalając jego podejście.

Otóż to, czym głównie kierują się kobiety, nazwaliśmy logiką rozmytą, a niektórzy z nas – głupiutką logiką (jest to na tyle mądre, że z pewnością nasze pojęcie trafi kiedyś nawet do ciemnych barbarzyńców z Zachodu). Jak to działa – wyjaśnię Ci na przykładach, więc pytaj” – zakończył starzec, kreśląc przy tym kijem na piasku niezrozumiałe robaczki.

„Mistrzu, spojrziała na mnie dziewczyna, więc poszedłem za nią. Rozmawialiśmy i było miło, a ona coraz bardziej przysuwała się do mnie. Kiedy jednak chciałem ją pocałować, a może nawet wtulić swoją głowę między jej cudne piersi (choć nic więcej, przysięgam!), już przy pierwszym moim ruchu zdzieliła mnie po głowie i uciekła. Cóż więc chciała właściwie?,” - żałośnie spytał młodzieniec.

„To proste i zarazem zawile, bo i wśród nas są różne szkoły wyjaśniające zachowanie się niewiast w takich razach. Jedna z nich głosi, że kobiety postępują zawsze na odwrót: jeżeli chcesz skraść im buziaka, oburzą

się za twoją zuchwałość, jeżeli nie zechcesz – orzekną, żeś gbur nieczuły na niewieście piękno. Logiczne jest tu ich postępowanie – nigdy nie bądź zadowolona z mężczyzny. W istocie kobieta rzadko wie, czego chce, ale wstydzi się to ujawniać przed mężczyzną, którym pogardza.

Druga szkoła, do której i ja się przychyliam, bo znam niewiasty już starsze, głosi, iż w istocie traktują one życie jak teatr. Może i my wszyscy tak czynimy, ale dla nich to przedziwne przedstawienie! Otóż jedynym motywem jest chęć osiągnięcia korzyści, a może być nią wszystko: całus, pierścionek, przeniesienie przez wezbrana wodę, wreszcie małżeństwo czy uwiedzenie biednego chłopca z wioski obok. Nie zawsze jednak trzeba coś robić, a wtedy ich zaloty do ciebie to po prostu rozrywka. Możesz po wielekroć słyszeć o gorących całuskach, o słowach uwielbienia, ale nie bierz tego poważnie. To, czy w istocie za moment skończysz kochając ją namiętnie, czy też zostaniesz obłany zimną wodą, tego nie wiedzą nawet one. Tu logika staje się także rozmyta, bo nigdy nie wiesz, co jest prawdą, a co fałszem” – zakończył staruszek.

„Starcze, zamąciłeś mi całkiem w głowie. Jakże więc mam postępować w życiu, aby zachować własne zdanie i zdrowy rozsądek? Jak mam wygrać w owym nierównym boju?” – niemal płacząc wyszeptał młokos.

„Głupiś po wielekroć! Po to przecież wziąłem Cię ze sobą w tę podróż, abyś się dowiedział. Otóż na walkę z rozmytą logiką perfidnej, acz całkiem niekiedy przyjemnej części naszego rodu, stosować można jedynie metodę tę samą. Nigdy nie pozwól kobiecie, aby Tobą zawładnęła, choć możesz jej pozwolić, aby jej się tak zdawało. Nigdy nie pozwól, aby zgadła, co czujesz i co zrobisz za chwilę. Nawet o tym nie myśl. Kiedy sądzi, że już cię uwiodła, popadnij nagle w najczarniejszą depresję. Kiedy rozgniewana obruszy się, nie roń łez, tylko daj do zrozumienia, że o to właśnie ci chodziło. Kiedy będzie wściekła, rozchmurz ją pieszczotami najwyszukańszymi; kiedy naraz będzie tuż obok niebiańskich wrót, porzuć ją mówiąc, że i tak nie dba o ciebie” – odparł mistrz raz jeszcze.

A ponieważ ciemna już noc była, położył się do snu. Zanim jeszcze nie zasnął, usłyszał ostatnie pytanie „A jak było z Tobą, powiedz mi? Wygrywałeś?”. Ten odparł gniewnie „Nie, bo nie o wygraną tu chodzi.

W istocie to kobieta – nie mężczyzna - przegrywa zawsze, kiedy stosuje te swoje diabelskie sztuczki. Chciałem im częstokroć pomóc, wyzwolić je z owego zaklętego kręgu, aby zrozumiały, jak wygląda prawdziwa miłość, przyjaźń, rozkosz. I jeśli chcesz wiedzieć – nie udało mi się to niemal nigdy, a może nigdy. Ale czy to ja przegrałem, durniu? A teraz daj mi spokój, bo na stare lata znalazłem wreszcie trochę spokoju. I wierz mi: nie chcę znać już żadnej kobiety, której czyny i słowa nie będą w harmonii tak doskonałej, jak niebo i ziemia, jak ludzka drobina i kosmos. A ponieważ do tej pory kogoś takiego nie spotkałem, więc wolę spędzać chwile w mojej samotności, i tak to już ostatecznie. Niech one żałują, ale nie! przecież ich logika nawet nie pozwoli tego dostrzec” – dokończył starzec, po czym już za chwilę potężnie zachrapał.

A młodzieniec długo jeszcze czuwał, usiłując okiełznać rozbrykane myśli, ale nie było to proste. Rozmyślając o tym, czy istotnie mędrzec miał rację, czy przemawiała przez niego gorycz może nieprzebaczonych zniewag, czy może zwyczajna głupota, która mędrcom przydarza się może i częściej, niż zwykłym ludziom. Nie rozstrzygnąwszy jednak tego dylematu, także zapewne ze zbioru rzeczy nieporachowalnych, i tak wciąż myśląc o kobietach mimo brutalnego wywodu mędrca, po chwili dołączył do starca chrapiąc głośno, i tak zakończyła się krótka, acz treściwa rozmowa dwóch Chińczyków o tajnikach kobiecych dusz i pierwsza zapewne w historii dyskusja o praktycznych zastosowaniach logiki rozmytej...

Wtedy dopiero Niedźwiedź, który zawędrował nieopatrznie w te strony, podniósł się po cichu i oddalił, a następnie, po miesiącach opowiedział wszystko Wilkowi. Co pomyśleli, to pomyśleli, tego nie wiemy ...

KARAWANA

„Sahara to podobno najbardziej niegościnnie skrawek kuli ziemskiej, ale przecież daleko jej do Doliny Śmierci w Kalifornii. Sahara to w istocie czternaście pustyń takich, jak Libijska, Arabska, Al-Dżuf, czy Tibesti. Pustynia sprawia wrażenie pozbawionej wszelkiego życia, ale nawet w tych wyjątkowo trudnych warunkach żyją rośliny i zwierzęta. Rośliny występujące na pustyniach przystosowane są do oszczędnej gospodarki wodą i do ochrony przed wysokimi temperaturami w ciągu dnia. Występujące rośliny to: suchorosty, pustynne trawy i słonorośla...” – w tym miejscu powoli kroczący Wielbłąd przystanął i zaczerpnął tchu, zmęczony snadź tym przydługim wykładem, ale już nie było mu dane kontynuować...



Wielbłąd przystanął i zaczerpnął tchu ...

Rys. Max Raczkowski, lat 11

„Mój dzielny Wielbłądzie” – przerwała mu Wielbłądzica – „mówisz bardzo ciekawe rzeczy, ale zapominasz, że maszerujemy już czternastą godzinę i zjadłabym choć jedno źdźbło z tego, co mówisz, a nasz właściciel Tuareg jest bez litości!”.



...maszerujemy już czternastą godzinę...

Rys. Kinga Ossowska, lat 10

„Nie przesadzaj, moja droga. Ja muszę nieść namioty, kawę i daktyle, worki ze zbożem i Allah wie, co jeszcze, a ty jedynie jakieś fatalaszki. Wytrzymaj jeszcze trochę, niedługo oaza” – odpowiedział Wielbłąd. „Zresztą, to Tobie zachciało się wypuścić tego złośliwego potwora z butelki...”. To mówiąc zamyślił się głęboko.

Jeszcze nie tak dawno w dalekim kraju żyli sobie bez specjalnych zgryzot, ale i bez leniuchowania. On, nieco ironizujący i sarkastyczny Puchacz, nie stronił od wybornych trunków, spośród których zwłaszcza osiemnastoletnia księżycówka dojrzewająca w wydrażonym dębie, zmieszana z odrobiną byczej krwi i ropuszej żółci, wzbudzała jego uznanie. Ona, wciąż bujająca w obłokach Sowa, lubiła poezję, dobre towarzystwo, ale i godne stroje.

I kiedyś, pewnego dnia, chcąc sprawić radość swojemu towarzyszowi, zjawiała się w domostwie właśnie z butelczyną wspaniałego eliksiru, chyba stuletniego, omszały był to bowiem antalek, opatrzony lakową pieczęcią. Należycie uczciwszy wspaniały prezent swojej małżonki, nieco zdziwiony co prawda wyglądem prezentu, skwapliwie pierwszego wieczoru Puchacz odłamał lak, wyciągnął korek i już skwapliwie zabierał się do napełniania kielichów, obiecując sobie wiele po tym wieczorze, gdy raptem z pierwszymi kroplami wypłynął jakiś dziwny stwór ...

Dżinn otrzepał krople wody i powiedział „No, dobra, jakie macie trzy życzenia ? Ale razem, bez przesady!”.

Oczywiście, pełen galanterii Puchacz odstąpił pierwszeństwo żonie, która po namyśle odparła „Chcę znaleźć się ... w cudownym Maroku!”. Puchacz traktując to wszystko z ogromnym przymrużeniem oka, zmęczony bowiem przypuszczał, że to fantasmagorie, dorzucił „A ja chcę być obok mojej ukochanej małżonki”. Na to nieśmiało Sowa „Czy mogłabym jeszcze mieć dwa, trzy, no może pięć marokańskich ubiorów ze sobą?”.

„Nie ma sprawy !” – zaśmiał się dżinn. Zagrzmiało, zahuczało i nagle ...

Dżinn spełnił co do joty ich życzenia, bo wędrowali po marokańskich piaskach, ciągle razem, a biedna wielbłądzica dźwigała nawet więcej niż tylko pięć strojów berberyjskiej księżniczki. I byłaby to wielce smutna bajka, gdyby przed nimi nie pojawiła się wreszcie upragniona oaza.

Wielbłądy przystanęły, Tuaregowie zdjęli z nich ładunki i pozwolili się napić wody. Kiedy jednak zwierzaki zerknęły w głąb źródła, ujrzały nagle znowu złośliwego dżinna ...

„I co, nie dziękujecie mi za spełnienie życzeń? Nie wściekaj się, Puchaczu, chciałem tylko pokazać, że alkohol może szkodzić nawet w niewielkich ilościach, powiedz to swoim przyjaciołom ... a teraz miłych snów!”.

Za czas jakiś Puchacz otworzył oczy, spojrzał na budzącą się także Sowę, zmarszczył czoło usiłując zrozumieć, skąd taki dziwny sen? Przecież niebo jest błękitne, słońce grzeje, Morze Śródziemne ciepłutkie i zaprasza do kąpieli, praca została daleko, tu tylko, w pięknym Maroku, błogi odpoczynek. Niepokój nurtował go, ale tylko rzucił „Miło Cię widzieć, moja droga żono, jak się spało? Bo ja miałem bardzo dziwny sen ...? „Ty też?” – rzuciła Sowa – „ja również, o jakiejś upiornej karawanie ! Wiesz, nie chciałabym być wielbłądzicą !”

„Ja też wolałbym nie słuchać świszczącego batoga Tuarega... O, idzie kelner, może masz ochotę na drinka ?” – rzucił Puchacz. Nie zdziwił się jednak słysząc „Nie tym, razem, kochany, jakoś na razie nie mam na to ochoty, to zdradliwy trunek. Ale może na co innego ?” – zawiesiła głos.

I na tym kończy się moja bajka, zostawiam bowiem jej bohaterów tam, gdzie powinni być sami. Ale czy na pewno tylko bajka ?

SARENKA

Do groźnego Byka, może z powodu jego gburliwości i szorstkości, może z powodu ostrego języka, wcale nie lgnęło wiele innych stworzeń. Szanowały go nie tylko inne wilki i niedźwiedzie, ale także jelenie i losie, a nawet poślad taki jak kuropatwy czy przepiórki. Na szacunku jednak często się kończyło, a i Bykowi odpowiadała rola samotnika.

Miał on jednak pewną słabość, którą starannie ukrywał, choć wprawnym oczom wzbudzały sarenki. Nie dlatego, że – jak mówią złośliwi ludzie – lubił je chrupać na śniadanie, obiad i kolację, bo w istocie Byk był jaroszem. Lubił zwyczajnie podziwiać ich zgrabne kibicie, obserwować zwinny bieg, spoglądać w głębokie brązowe oczy. Nade wszystko jednak były mu one drogie, bo takie bezbronne. A Byk w istocie nie mógł się pogodzić z losem, który sprawia, że ten, kto nie ma sił, ten ginie – i próbował to zmienić, często rozpieszczając piękne sarenki ponad ludzką i byczą miarę.

Niektóre z nich wykorzystywały to dość zuchwale. Jedna, na tyle piękna, na ile płocha, nieraz owijała srogiego Byka wokół palca zmuszając go (przecież nie wbrew jego woli...) do spełniania różnych jej kaprysów: a to prosząc o zwierciadełko ze źródlanej wody, aby mogła podziwiać swoją urodę, a to głośno narzekając, że idzie kolejna zima, a ona musi ciągle paradować w zeszłorocznym futerku. Inna... Dajmy jednak temu pokój, bo w istocie Byk swój rozum miał i często bawiły go te zachcianki, a ich spełnianie wcale nie było kłopotliwe.

Była jednak też sarenka, która – jak wiele innych – także nieraz wodziła za nim pięknymi brązowymi oczami, ale o nic nie prosiła, niczego nie chciała, a każdy drobny prezent musiała natychmiast oddać z nawiązką. Jej oczy często jednak blakły i pewnego dnia Byk zrozumiał, dlaczego, kiedy usłyszał, iż należy ona do stada jednego z najbardziej leniwych i zadufanych w sobie jeleni.



Była jednak też sarenka ...

Rys. Marcin Żurek, lat 11

Cóż miał jednak na to poradzić groźny Byk, skoro są sprawy, których i dobry Bóg rozwiązać nie potrafi tak, aby wszyscy byli zadowoleni? Dogadzał biednej sarence tyle, ile mógł, pocieszał ją nieraz. Mówił wielokroć, że świat jest kolorowy, jeżeli potrafimy podnieść głowę i poznać wszystkie jego wspaniałości: kolorową tęczę złożoną ze stad figlarnych kropelek nanizanych na słoneczne promyki, delikatnie muskające skórę popielate pajęczynki mijającego lata, oszałamiającą woń czerwcowej łąki, zdobnej szatą taka, jakiej nawet królowie nie posiadają.

Tak mijały lata, kwitła cicha przyjaźń drobnej sarenki i potężnego (coraz bardziej, bo łasuch z niego był okropny) zwierzaka. Gdyby nie ona, może sarenka pewnego dnia z rozpaczki trzasnęłaby łbem w potężny dąb, bo i takie rzeczy zdarzały się w zaczarowanym lesie. To dodawało jej otuchy, pozwalało zrozumieć, że nie ma nieszczęść większych niż te, które mogą dopiero przyjść.



To dodawało jej otuchy ...

Rys. Marcin Żurek, lat 11

Nie wiem, jak się to skończyło, bo wcześniej wywędrowałem z Wielkiego Boru i osiadłem na stare lata na małej wysepce, z krystalicznie niebieską wodą, zaludnionej jedynie przez kilkanaście zaledwie istot. Kiedyś jednak przepływający nieopodal delfin poznał mnie i powiedział, że Byk jeszcze dycha, ale już usunął się do swojej samotni. Może niezupełnie samotni, bo podobno ma tam jedną jedyną bratnią duszę, która widać opiekuje się nim: sarenkę, mocno już w leciech, ale wciąż radośnie uśmiechniętą i chyba zakochaną w tym starym zwierzaku.

Czy to prawda? Nie wiem. Jak się to stało? Powiadali, że sarenka odeszła od nicponia jelenia, inni – że to on opuścił szybko ten padół z winy hulaszczego trybu życia, a jeszcze inni – iż sarenka pogodziła się ze swoim partnerem, a dopiero, kiedy Bóg zabrał go do siebie, zamieszkała u Byka, tymczasem także owdowiałego, przecież także jej dalekiego kuzyna. A czy to ważne? A może to tylko bajka?

LWIĄTKO

Wiele wiorst trzeba przejść od zagubionej wioski okolonej ciemnym borem, Czarcimi Błotami, zagadkowymi jeziorami, aby wreszcie dostrzec zupełnie inny krajobraz. To rozległa równina, poprzetykana pojedynczymi krzewami i drzewami, gdzieś pojawia się wąwóz czy rozpadlina.

Były tam stwory rozmaite i zadziwiające nawet Wilka, który tak naprawdę był raczej domatorem i tylko czasem ciekawość świata wyganiała go z siedliska. Obok przebiegło zwierzę pomalowane w dziwne pasy i o szyi wyciągniętej ponad miarę, snadź od ciekawskiego podpatrywania sąsiadów, tak niewiarygodne w swojej postaci, że kiedyś nawet Wilk zamruczał „Chyba śnię, takiego zwierzaka być nie może...”. Dalej pojawiła się nikczemna postać z łbem pochylonym nisko nad ziemią, jakby szukająca jedynie resztek padliny pozostawionej przez królów tej krainy. Przymaszerował niesłychanie otyły przedstawiciel tego świata, z rogiem na środku szkaradnej buzi, pewnie powstałym po trykaniu w nieliczne drzewa, jak niezbyt mądrze pomyślał Wilk. Jak wiatr przebiegła wyjątkowo śliczna sarenka ... nie, to coś innego, jeszcze piękniejszego. I wtem całe to towarzystwo rozpierzchło się, jakby za przyczyną nagłego huraganu ...

Bo oto na horyzoncie pojawił się monarcha sprawujący rządy, z płową czupryną. Przy jego boku zaś cały dwór, lwi dwór, bo tak nazywał się wielki przywódca.

Bogiem a prawdą, lwu wydawało się tylko, że tak jest. Jego groźne pomruki nie wzbudzały respektu, jak kiedyś, choć wciąż pozostałe zwierzęta wolały trzymać się od niego z daleka, ale nie za horyzontem. Lew był nieco podtatusiały, zaczął linieć, wciąż jednak był lwem, a przynajmniej tak sądził...

Lwia rodzina, dość okazała, żyła w tej wiosce, trzymając się nieco z daleka od innych, tak przynajmniej sądził groźny lew. Czy jednak miał rację? Niezupełnie, bo przecież w stadzie obok tylu potulnych zwierzątek żyło także niesforne lwiątko, a właściwie już lwica, jego towarzyszka ...

Młodzi są różni, nie rozumieją, że starsi mają zawsze rację, nawet jak nie wiedzą, o czym mówią ... Nie rozumieją, że prawa plemienne nakazują

ślepe posłuszeństwo wobec przewodnika, a nie dawanie posłuchu innym zwierzacom...

Lwiątko takie właśnie było, pozornie pełne respektu wobec lwa, ale jednak nie do końca...



Lwiątko takie właśnie było ...

Rys. Kinga Ossowska, lat 10

W istocie, jak w wielu (choć nie we wszystkich!) stadach zwierząt i ludzkich rodzinach, pan domu uważał, że zdobywanie pożywienia jest jedynym i wystarczającym zajęciem. Kiedy już dopadł jakąś nieszczęsną antylopę, wtedy odpoczywał tak długo, aż w żołądku nie zaczynało mu burczeć z głodu. Lwice, a właściwie ich małe stadko, bo lew miał zaiste cały harem, dbały o resztę – wychowanie maleństw, dbanie o miejsce na nocleg, o wszystko inne ... Były zwierzęta, które postanowiły rozwijać swoje umiejętności, jak choćby ogromne goryle i złośliwe pawiany, filozof marabut i bobry kształcące swoją inżynierską sztukę, ale nie lew! On uznał, że skoro jest królem zwierząt, to jego majestat nie znosi żadnej pracy i nawet, wstyd powiedzieć, z wiekiem całkowicie zepchnął na barki młodzieży poszukiwanie pożywienia, choć sam był pierwszy do jedzenia!

I pewnie nic w tym takiego, gdyby nie fakt, że z wiekiem lew stawał się coraz bardziej przykry, coraz częściej poszturchiwał lwicę, bo ona w końcu jedyna mu pozostała wraz z młodym lwiątkiem, niezdolnym jeszcze do

polowania. Lew postanowił i wydając groźne pomruki zmusił lwicę, aby ona przejęła też rolę myśliwego. I tak też się stało, ale do czasu.

Nie wiem, czy lwica miała sama z siebie dosyć takiego życia, czy ktoś – mądry marabut, inteligentny szympans, dobroduszny hipopotam, czy zwierz z dalekich stron - dość, że pewnego dnia...

Pewnego dnia lew wrócił do domu po krótkim spacerze i zdziwiony nie zauważył nikogo, ani lwicy, ani młodego lwiątko. Pomyślał tylko, jak głupie są samice i co robi z nią, jak zjawi się ponownie; pozbawi pożywienia, może przywali łapą, a na pewno jego wściekły ryk będzie słychać w całej okolicy! Ale mijały dni i nic.

Lwica razem z małym wędrowała tymczasem przed siebie smakując świeżo odzyskaną wolność, upijając się każdym jej łykiem. Oglądała nowe krajobrazy wcale nie myśląc o swoim dawnym towarzysz; może czasami, kiedy wracała pamięcią do dawnych lat i wspominając, jak podziwiała jego piękną sylwetkę, jego wspaniała grzywę.

I wreszcie po wielu tygodniach dotarła do miejsca, które wyglądało jak z bajki. Gdzie okiem sięgnąć, rozpościerała się cudownie zielona łąka, gdzieś tam poprzetykana okazałymi głazami, pniami baobabów i wiotkimi akacjami, otoczona z obu stron niewielkim górkami gdzieś na horyzoncie. Nie było ani za ciepło, ani za zimno. Zgodnie na sawannie bawiły się szympansy i goryle, antylopy, zebry i gazy, nosorożce i słonie, gepardy i pantery, likaony i hieny. Nie wchodźmy w to, skąd pochodziło pożywienie mięsożernych przecież na ogół zwierząt, może stały się jaroszami; dość, że nikt na nikogo nie napadał, wszyscy żyli w zgodzie i przyjaźni. Miejscowi Pigmeje tak przynajmniej twierdzili, a oni nie są zdolni do kłamstw. To cudowne miejsce biali ludzie nazwali Doliną Białych Słoni, ale miejscowi, pomni legendy, mówili o nim, jako o Szczęśliwej Dolinie, zaś o wartkiej rzece przecinającej równinie – Cudowna Wielka Woda. Podobno ci, którzy codziennie ją pijali, stawali się łagodni i życzliwi.

Minęły lata, Afryka zmieniła się nie do poznania. Nie ma już tylu zwierząt, niewielu pozostało Małych Ludzi, a i woda zapewne straciła swoje niesamowite właściwości. Jeden z nich opowiedział mi to wszystko przy

ognisku, ale też o wiele więcej, bo to jeszcze nie koniec bajki ... a może nie bajki?

Lwica była samicą nieprzeciętnego umysłu i poświęcała wszystkie swoje siły tylko swojemu już nie całkiem małemu synkowi nie zaspokajało jej ambicji, a zmęczona nieco poprzednim życiem nie myślała nawet, czy zrobiła dobrze. Może czasami, może nawet coraz częściej, ale wracać nie zamierzała nawet przez chwilę, a innego lwa w okolicy nie było. Zaczęła więc dzielna lwica spoglądać na swoich towarzyszy stwierdzając, że wielu z nich pędzi żywot beztroski, nie myśląc o doskonaleniu swoich umiejętności, o jutrze, któremu zagrozić może złowrogi ogień od okrutnego pioruna gwałtownej tropikalnej burzy, czy też nagle wezbrane wody pożerające bezradne zwierzęta. Powoli, najpierw dla kilku chętnych, potem dla coraz szerszej rzeszy, rozpoczęła lwica prowadzić swoje uświadamiające akcje i organizować niezbędne prace. Zdziwiłby się wielce lew, tak przekonany o swojej wielkości i nieustannie karcący za wszystko lwicę, gdyby miał okazję zobaczyć Gimnazjum Wspólnych Działań, Liceum Uczuć, Wyższą Szkołę Przetrwania ... Dzięki lwicy na wzgórzach pojawiły się ciągi pieczar z szybami wentylacyjnymi, rowy melioracyjne rozchodzące się od Cudownej Wody, ukryte w ciernistych krzewach magazyny żywności na wszelki wypadek.

Ale nie tylko takie akcje prowadziła wspaniała lwica ! Prowadząc coraz to bujniejsze towarzyskie życie zobaczyła ze zdumieniem, że podobny egoizm i niebywała pychę reprezentuje wielu samców z różnych stad, a ich towarzyszkę potulnie znoszą nadmierne obciążenia oraz wieczne porykiwania i nawet razy. Sprytna lwica wprowadziła więc zwyczaj piątkowych wieczorów tylko dla samic, kiedy to nawet do wczesnych godzin rannych (kotom było w to graj, przecież one uwielbiają noc!) prowadziły zwierzęta płci pięknej długie dyskursy o życiu, o szczęściu, ale też o tym, jak przetrwać nie tylko w niebezpiecznej Afryce, w swoim własnym domostwie.

Długo by opowiadać o przypadkach dzielnej lwicy, ale to wszystko zdarzyło się w ciągu zaledwie roku ! Lwica żyła intensywnie, była wysławiana przez jednych, a – takie jest życie nie tylko wśród ludzi – ganiona przez zawistników i wiecznych malkontentów. Jednak, snadź zahartowana uprzednio, niewiele sobie z tego robiła. Jeżeli nawet, to z depresji wydobywali

ją wierni przyjaciele, których zyskała tymczasem – mądry marabut, dobroduszny hipopotam, a nawet zwierz z dalekich stron, który zawitał do doliny w najważniejszym momencie, gnany po całym świecie. On to opowiedział swemu małemu Przyjacielowi, co stało się pewnego dnia, zanim powrócił w swoje strony, do Wilczego Boru, bo też on przez moment był jednym z kręgu najbliższych Lwicy.

Lwica żyła więc sobie, pozornie zadowolona i szczęśliwa, ale jednak ...



... pozornie zadowolona i szczęśliwa ...

Rys. Julia Wołoszyk, lat 13

I pewnego dnia, kiedy siedziała sobie wygodnie w pieczarze czytając już całkiem dorosłemu lwiątku bajeczkę (nie wierzcie w to, że zwierzęta nie czytają ! zanudziłyby się całkiem, a że światło w jaskiniach jest marne, lwica nawet nosiła okulary), nagle dzienne światło przesłonił jej cień. U wejścia stał znajomy kształt jej towarzysza sprzed zaledwie kilku lat, groźnego lwa. Nie był to jednak już wzbudzający respekt król stworzeń, raczej przechodzień proszący o datek ... Lwica podniosła się, stanęła przy wejściu i nagle odsunęła się, robiąc przejście, a lew powoli, z niedowierzaniem wśliznął się do pieczary, witany radośnie przez lwiątko, jak gdyby nic się nie stało.

Co było potem ? Lew i lwica żyli jeżeli nie długo i szczęśliwie, bo nikt nie zmienia się do końca i nie żyje wiecznie, zapewne nieraz pomrukiwali na siebie, to pozostali ze sobą już na zawsze, co zresztą nie oznaczało wiele. Lew

był szanowany jako król zwierząt, jak głosiła Nowa Księga Dżungli, ale tak naprawdę to lwica w dalszym ciągu kierowała całą społecznością.

I jaki z tego morał. Niejeden ! Nie warto żyć w samotności, jeżeli ceną za jej brak są niewielkie utarczki, powodowane jakże trudnym dopasowywaniem się charakterów. Jeżeli ceną jest pozostawienie samcom złudzeń, że to oni są panami świata, podczas gdy tak naprawdę sprytnie samice muszą go najczęściej tworzyć na nowo każdego z dni. Wreszcie ceną powinno być zrozumienie, że to one potrafią osiągnąć niemal wszystko, jeżeli tylko zechcą, jeżeli tylko się odważą, czy to dzięki swoim niezaprzeczalnym urokom, czy to tupnięciu raciczką lub łapą ... Bo samce wcale nie są głupie i zdają sobie sprawę, że życie bez samiczek pod każdym względem nie byłoby udane, ale czy są winne temu, że Stwórca dał im, niezbędny przecież przed wiekami, instykt walki i dominacji nad światem ? Na szczęście dał światu coś jeszcze, co jest bronią uroczych samiczek, ale o tym zmilczmy, wszak to tylko bajka ...

Tak mówi stara baśń snuta przez zwierzęta sawanny, ale kiedyś przy ognisku Wilk, także posunięty w leciech Tapir uwielbiający Lwiątko i kilka im przyjaznych zwierzątek po sporej ilości nektaru z leśnych barci doszli do wniosku, że bajki starego Wilka są jednak dobre tylko dla dzieci. Życie nie jest takie, jakie się je widzi, miłość nie trwa wiecznie, na szacunek trzeba zasłużyć, a los Lwicy wcale nie był tak ponury, jak to przedstawiała. Tylko podsłuchujący w sąsiedniej pieczarze Lew, od dawna samotnie na świecie wychowujący potomka, uśmiechnął się wspominając swoją jakże inteligentną Lwicę, mistrzynię iluzji ... Ale przecież otoczenie można zaczarować jedynie dzięki pięknemu uśmiechowi, z którego Lwiątko było znane, i nawet znając jej bogatą fantazję i styl życia, cały Wielki Las godził się z dziwnym usposobieniem naszej towarzyszk i szlochał, kiedy nagle odeszła do krainy wiecznej szczęśliwości. Ciekawe, czy tam też jest wszędzie na pierwszym miejscu, jak dobry Bóg daje sobie z nią radę, czy także uległ urokowi jej uśmiechu, szczebiotowi słów ?

WYBORY W WIELKIM LESIE

W Wielkim Lesie życie wcale nie było sielanką. I nie chodzi o brak pokarmu; a kiedy i takie niebezpieczeństwo zjawilo się nagle z wielu powodów, krwiożercze wilki, chcąc nie chcąc, stały się na poły wegetarianami. Nie chodzi o zagrożenie, bo któż nie bałby się straszego wilka, nie wiedząc wszak, że wilki napadające na podróżnych w dawnych wiekach to zaledwie legenda, może zawierająca źdźbło prawdy, bo czyż w każdym społeczeństwie nie trafi się zwierz lub człowiek szalony? Groziło naszej gromadce jednak inne niebezpieczeństwo, z pozoru niewielkie. Otóż kiedy wilki straciły swoją złowrogą legendę, kiedy nie tylko niedźwiedź i bizon, ale maleńki zając, smukła łania i zawsze przerażona synogarlica ze zdziwieniem skonstatowały, że wilcza gromada wiecznych ponuraków to lud niezwykle gościnny, przyjazny, skory każdemu do pomocy, a i od zacnych likworów nie stroniący. Wtedy to do Wielkiego Lasu zaczęły napływać stada zwierząt rozmaitych, nawet takich, jakich jeszcze te okolice nigdy nie widziały, że wspomnę choćby o zabłąkanym suhaku z pięknym porożem, gepardzie szybkim jak strzała o członkach jednak już nieco osłabionych wskutek sędziwego wieku, parze słoni wiecznie patrzących pod nogi, aby kogo nie rozdeptać, itd., itd.

Nic dziwnego, że zaczęły się kłótnie, bo okolica nie była jednak do końca przygotowana na taki napływ przybyszy. Część z nich, stwierdziwszy to, z żalem wzbila się do nieboskłonu i pożeglowała w nieznane krainy, ale na pamiątkę udanego pobytu i dzikie kaczki, i żurawie, i bociany kilka tygodni, a może i miesięcy zlatywały się z okrutnym gęganiem i klangorem, powitaniom nie było więc końca. Słonie z żyrafami również objadłszy wszystkie liście i trawy wokół Czarciego Źródła oddaliły się, zapewne z powrotem do swoich gorących sawann, bo gdzie chleb, tam ojczyzna. Mimo to jednak wioska rozrosła się, potworzyły się wokół niej liczne sioła i przysiółki, pojawiła się potrzeba czegoś, co nigdy wcześniej nie było znane w tej okolicy, a do czego zmusza niedobór dóbr i potrzeby mieszkańców Ziemi: potrzeba ZARZĄDZANIA.

Zwierzęta i także ludzie, zamieszkujący tu głównie liczne polany w swoich chatkach na niekiedy balach, niekiedy na kurzych nóżkach (jak Jag ze swoją Babą), nie lubili tego pojęcia, bo oznaczało, że ktoś ma im rozkazywać. Nikt nie lubi przymusu, nikt nie przepada za poleceniami, zwłaszcza gdy uznaje je za co najmniej nierozsądne (Stary Wilk wyrażał się często bardziej dosadnie, ale nerwus z niego był też, wbrew pozorom, straszny), a i czas na ich wykonanie za zupełnie zwariowany. Bez tego jednak było jeszcze gorzej, powróciłyby słynne Wilcze Prawa (Kto silniejszy, ten lepszy), do których Wielki Las nie był przygotowany. Jeny wtajemniczeni i wszystkowiedzący, pamiętający stare czasy wiedzieli, że w istocie były one na pozór okrutne, często prowadziły do odrzucenia i nawet śmierci słabych członków stada, ale bez tego wilki nie wyżyłyby w mniej gościnnych krainach. A dodajmy jeszcze na ich obronę, że to nie one, nie zwierzęta, a człowiek wymyślił znęcanie się nad słabszymi, bezinteresowne zabijanie, także jednak zwykle oszukiwanie, pomówienia, pychę i wiarołomność. To my, ludzie, powinniśmy, składać pokłon wilkom – i niektórzy z nas czynią to, przyjmując do swoich rodzin psy różnych ras i maści, potomków groźnych – wiecie już, że nie do końca – wilków.

Nie było jednak rady nawet, jeżeli wilki mruczały, że nie podporządkują się nikomu, i robią tak nadal wędrując w coraz to bardziej dzikie okolice. Większość jednak zwierząt stwierdziła, że czas dokonać wyboru Przywódcy Wielkiego Lasu, mającego tyle zalet, aby poprowadził je wszystkie ku świetlanej przyszłości. Biedne zwierzątka nie wiedziały (oprócz Starego Wilka, miłośnika bardzo długich wędrówek, który świetnie znał obyczaje ludzkich gromad i nawet czytał gazety), że dążą do demokracji, o której jeden z ciekawszych ludzkich przedstawicieli powiedział „To najgłupszy wynalazek ludzkości, ale nic lepszego jeszcze nie powstało”.

Padło więc hasło WYBORY. Ustalono, podobnie jak to ma miejsce wśród ludzi, że w głosowaniu wezmą udział wszyscy chętni, każdy będzie miał jeden głos, a całość poprowadzi ktoś, kto na pewno nie ma szans. Do Komisji Wyborczej weszła więc szara Mysz, samotny Marabut i cętkowana Żmija. Komisję Skrutacyjną stanowiły skrupulatna Kaczka, umiejący liczyć każde ziarenko Szczur i wreszcie Leniwiec, który i tak nic nie robił.

Kampanię wyborczą zarządzono na okres pierwszego siewu po wiosennym zrównaniu dnia z nocą, zaś wybory na dzień niedzielny po zakończeniu żniw. Czasu na przygotowania było więc sporo.

Rozpoczęła się więc kampania. Stary Wilk spodziewał się, choć z pozoru kompletnie niezainteresowany, że padną w niej propozycje, jak wyremontować starą drogę zniszczoną przez słonie i bizony, jak przekonać bobry, aby nie budowały aż tylu tam zalewając w ten sposób wiele łąk i niszcząc jamki innych zwierząt, wreszcie skąd wziąć pożywienie dla ogromnej gromadki. Mylił się jednak srodze ... Jeżeli były obietnice, to umieszczone w tak dalekiej przyszłości, iż mało sprawdzalne, położone w Świecie Fantazji; kampanię szybko zdominowało przekonywanie wyborców, że kandydat lub kandydatka są lepsi od innych, a nie – co mają realnego do zaoferowania. Owszem, takie obietnice wyborcze zdarzają się i wśród ludzi, ale i tam mało kto w nie wierzy. Stary Wilk jedynie przez moment myślał o kandydowaniu w wyborach, cieszył się wszak szacunkiem u nie tak małej gromadki zwierząt, a nawet i ludzi, ale ponieważ nie cierpiał dużych zgromadzeń, a i brzydził się obietnicami bez pokrycia, wreszcie uważał, że zwierza tak ponurego, z pyskiem ukazującym wściekłość i gniew (nie było to prawdą, wilki po prostu mają taki wygląd!), mało kto zechce na przywódcę stada – i zapewne nie pomyliłby się.

Jako pierwszy wystąpił na swoim wiecu Lew. Pochwalił się piękną grzywą, pokazał uroczą Małżonkę, powiedział wreszcie, że jako król zwierząt to on jedyny nadaje się do przewodzenia stada.

Następny był Kangur. Jego argumentami wyborczymi były: torba na drobne datki świadcząca o umiejętności oszczędzania, zdolność znokautowania przeciwnika w najmniej oczekiwanym momencie i wreszcie umiejętność szybkiego oddalenia się w razie potrzeby.

Zachciało się kandydować także Puchaczowi przekonującemu, że jako przedstawiciel sów cechuje się zdecydowanie największą mądrością, a w dodatku nie sypia w nocy, co pozwala mu na tworzenie coraz to nowych idei.

Paw rozpoczął swoje wystąpienie przedwyborcze od zademonstrowania pięknego pióropusza, a zakończył oznajmieniem, iż z pewnością Bóg nie

stworzył nikogo tak pięknego jak On, więc tylko On może sprawować rządy w zwierzęcym królestwie.

Głupstwa gadacie – oświadczyła żyrafa – Mam najdłuższą szyję i nie tylko powinniście wszyscy mi zazdrościć, ale dzięki temu jak nikt potrafiłabym znajdować pożywienie nawet tam, gdzie mysikróliki i tęgoryjce nie są do tego zdolne.

A na to słoń: „Moi drodzy, nie bądźcie durnymi zwierzakami, które nie dostrzegają trosk naszego codziennego życia. Któż, jak nie ja, usunie z waszej drogi wszystkie przeszkody dzięki tonom czy raczej megagramom, które niosą moje cztery potężne nogi? A w upalny dzień urządzę nawet fontannę!”.

Papuga nie była gorsza „Nie doceniacie potrzeby intelektu. Ja jedyna mówię wszystkimi językami, jakie tu tylko są znane – dialektami ptaków z północy i południa, rykiem lwów i tygrysów, nawet co bardziej gadatliwych ryb!”.

Dziwię ci się – odparł na to orzeł – tylko ja mogę być królem, spójrzcie na moją majestatyczną postać, jak szybuję w przestworzach, ale pomyślcie także, czy ktoś widzi dalej i lepiej ode mnie? W dobry dzień dostrzegam nawet daleką przyszłość!

Wszyscy się mylicie – wyskoczyła nagle małpa – to ja jedynie potrafię wymyśleć coś nowego, jakieś narzędzie, jakiś zespołowy projekt, to ja jestem kuzynką człowieka, najmądrzejszego ze wszystkich stworzeń ... Ale tu zebrani na wiecu przedwyborczym zaczęli się gromko śmiać, bo też taka nedorzecznosc z miejsca zdyskredytowała ją jako poważną kandydatkę.

Długi był korowód zwierząt zachwalających swoją wyjątkowość, choć żadne z nich nie mówiło o tym, jak należy rządzić; wszak ich przyszli poddani znali wagę obietnic przedwyborczych i zgoła nie tego oczekiwali. Czego jednak? Sami nie wiedzieli.

Wilk z własnego wyboru nie brał udziału w debacie, ani jako kandydat (czym zresztą miałby zaimponować?), ani jako uczestnik wiecu podziwiający lub krytykujący. Leżał sobie nad brzegiem jeziora zamieszkałego przez wszystkie chyba rzeczne i nawet niektóre morskie stwory, leniwie spędzając czas i słuchając niekiedy niesionych przez wiatr wystąpień kolejnych mówców. Lista była długa, bo niewielu jest takich, którzy nie lubią władzy.

I gdy tak sobie leżał i dumał, co Wilkowi nader często się zdarzało w ostatnich leciech, na brzeg wpełzł Stary Żółw. Miał on tyle lat, że nawet już zapomniał, ile. Stary Wilk przerwał swoje jałowe rozmyślania i wprost zapytał: „Żółwiu, masz ogromnie wiele lat, z niejednego pieca chleb jadłeś, z niejednej podwodnej zatoki wyciągałeś wodorosty, powiedz, jak powinniśmy postąpić?”



na brzeg wpełzł Stary Żółw...

Rys. Julia Wołoszyk, lat 13

Ogromnie stary Żółw odparł na to: „Rozwiązanie waszego, czy nawet naszego problemu jest dziecinnie proste i trzeba było może spytać wasze pociechy. Otóż, jeżeli nikt nie chce głosować na lwa, czy słonia, czy pawia, czy papugę, to dlatego, że jest gorszy od jednego, dwóch lub od nich wszystkich. Jedyna szansa to znalezienie kandydata, który będzie gorszy z jakiegoś powodu od każdego z tych chwalących się, i to całkiem słusznie, swoimi przymiotami, bo wtedy wszyscy wyborcy będą na niego głosować, pewni, że w każdej chwili będą mogli uznawać się za lepszego od swojego przywódcy”.

„Czy tak się stało?” – zapytał po latach słuchający opowiadki świeżo przybyły Lemur bardzo już Starego Wilka – „czy rządzi tak właśnie wybrany król, czy też zwierzęta znalazły inny sposób i mają najlepszego przywódcę,

posiadającego ogromnie wiele zalet?”. „Mój maleńki, drogi przyjacielu, – odparł Wilk – „na to pytanie musisz odpowiedzieć sobie sam, ale w głębi duszy. Pamiętaj, że każdy przywódca ma także środki do rozdania i do zaprowadzenia porządku, ma dwór, ma wiele możliwości. Robi też, mimo wszystko, wiele dobrego, bo zarządzać nie jest wcale łatwo, niewiele jest czasu na sen i rodzinę. Wtedy więc nikt nie wypomina i nikt nie pamięta nawet, jak przebiegały wybory i jak wtedy oceniano kandydata. Król jest zawsze najlepszy, a jeżeli nie, to...”.

Powiedziawszy to, Wilk z szelmowskim uśmiechem oddalił się do swojej pieczary. Tam mógł zapomnieć o świecie, o jego przywarach, a pamiętać jedynie o radościach, o przyjaciółach, o rodzinie. I tak trzeba – zostawmy sztukę rządzenia tym, co ją lubią, sami koncentrując się na Życiu.

PRZESTROGA

Kiedy przyszła wiosna, zaczęły się budzić ze snu kaczeńce i pierwiosnki, przyleciały bociany od razu wypatrujące smakowitych żabek, wtedy – gdy cała natura wydawała się radować - przyszło nieszczęście do domu Wilka.

Już od pewnego czasu Wilczyca pokasływała i coraz ciężiej jej było, a to nosić wiadra z wodą, a to zamiesić ciasto, a to ugotować zupę. Wilk obserwował to z niepokojem, ale w swej naiwności myślał, że to minie. Niestety!

Pewnego dnia, gdy promienie słoneczne jak zwykle pozłociły okazała Wilczą Chatkę, Wilk wstał wcześniej jak zwykle, siadł do komputera, bez którego nie wyobrażał sobie życia, i nagle zauważył po pewnym czasie, że czegoś mu brak: biegania i szczebiotania jego wiernej towarzyszki, która o tej porze już dawno powinna być na nogach!

Po cichutku podszedł do wygodnego łóża, gdzie leżała Wilczyca. „Źle się czujesz, moja droga?” – zapytał. „Kochany Wilku, pora już na mnie” – usłyszał w odpowiedzi - „Walczyłam dzielnie, chciałam być z Tobą jak najdłużej, ale już nie daję rady. Wiesz przecież, że przebywamy tu, za wolą Najmądrzejszego z Wilków, tylko chwilę, aby potem znów spotkać się na Rajskich Łąkach, już na wieczność. Chciałam odejść pierwsza, aby przygotować dla nas obojga wygodne miejsce tam, ponad chmurami”.

To powiedziawszy, pocałowała Wilka, odwróciła się i odeszła. A on tymczasem siadł i siedział, i wspominał dobre i złe chwile razem przeżyte... nie, nie było przecież chwil niedobrych, tylko takie, gdzie ich miłość zdawała się przygasać, to znów rozkwitać jak tajemny kwiat w świetle księżyca.

A kiedy sprawił jej pochówek godny tej, z którą przeżył całe swoje dorosłe życie, powrócił, zdawałoby się, do normalnych zajęć. Chodził na dalekie spacerki; odwiedzał wieś i rozmawiał z ludźmi o czekających zbiorach i jesiennych smutkach; zbierał jagody i grzyby, bo Wilk na stare lata stał się całkowitym jarozsem. Niewiele odwiedzało go osób, bo był ostatnim z wilczego stada, niekiedy wpadła Kuna z domową zupą, przyszła Czerwony

Kapturek zabawić go rozmową. Coraz mniej było radości w życiu Wilka i zdawał on sobie sprawę, że świat już nie jest ten sam.

Przyszły jesienne słoty i pierwsze przymrozki, aż wreszcie spadły pierwsze śniegi. Cała okolica szykowała się do Wigilii i Świąt Bożego Narodzenia. Starsi nerwowo rozmyślali nad prezentami dla dzieci, te zaś nad podarunkami dla nich. I tylko Stary Wilk patrzył na to obojętnie wiedząc, że zostanie sam.

A kiedy zaświeciła Gwiazda Betlejemaska, siadł przy stole, przełamał się sam ze sobą opłatkiem, popatrzył na puste miejsce przy stole i gorzko zapłakał. Jakże przykra i gorzka jest samotność, pomyślał, dla kogoś, kto spędził całe życie wśród gromady ludzi i zwierząt. Odchodzą bliscy, a z nimi kurczy się świat, aż wreszcie zawęży się do tego jednego miejsca, w którym powinien być ktoś Ci najbliższy, a ono jest puste. Czy warto jeszcze żyć? Czy nie lepiej przejść na drugą stronę?

Gdy tak rozmyślał, mijały długie godziny, zbliżała się północ. Wtem – zdawało mu się – usłyszał gwar głosów przed Wilczą Chatą, a po chwili otworzyły się drzwi. A przed nimi osłupiały Wilk ujrzał tłum ludzi ze wsi, lisy, czaple i jeże, a nawet – o dziwo – siedmiu krasnali i nieco postarzałą (co bystro zauważył) królową Śnieżkę.

„Wilku” – powiedziała ona – „przyprowadziłam Ci gości, abyście wszyscy razem przełamali się opłatkiem, powspominali stare czasy, a potem też razem pójdziemy na pasterkę oddać cześć Temu, za wolą którego możemy tu dziś być razem. I nie smuć się, ktoś taki jak Ty nigdy nie będzie sam”.

I tak się też stało. Złożyli sobie życzenia, a potem ruszyli do wiejskiego kościółka. A kiedy wrócili do domostw, Wilk położył się do łóżka, aż zasnął, bacznie obserwowany przez Królową Śnieżkę, bowiem to ona zdecydowała się pozostać z nim i swym drobiazgiem w jego chatce, zaniepokojona stanem jednego z najstarszych mieszkańców Wilczego Boru.

A Wilk tymczasem śnił o dawnym świecie, i nie wiedział już, czy to wszystko było jeszcze jedną bajką, czy nie. Śnił o czasach, kiedy jako urwis latał po podwórkach czyniąc psoty; rozmawiał we śnie ze swoimi rodzicami, próbując smak zupy swej matki i ciasta matki jego Wilczycy. Wędrował ścieżkami czasu, gdzie za każdym zakrętem pojawiała się jego ukochana, a to

umilająca mu zimne noce, a to wesoło gaworząca o przyjemnościach dnia codziennego. Spoglądał w oczy swoich przyjaciół.

A kiedy nastał ranek, Królowna wstała, spojrzała na uśmiech zastygnięty na twarzy Starego Wilka i zrozumiała, że odszedł już od nich ten dziwny zwariowany stwór, złośnik i fantasta, gderający i narzekający, a przecież wierny opiekun nie tylko swej Wilczycy, nie tylko grona swoich najbliższych i sąsiadów, ale całego świata. Odszedł w chwili, kiedy powróciło ulotne szczęście, nie smucąc się i tęskniąc do nowej przygody, ten niepoprawny marzyciel, przygody na Rajskich Łakach. Czy można sobie wymarzyć sobie lepsze zakończenie pobytu po tej stronie? Czy nieprawdą jest, że ten, kto prawdziwie kocha życie, będzie wesoły do końca swoich dni?

A tymczasem Wilk przechadzał się już po Rajskich Łakach pod rękę z Wilczycą, młody jak kiedyś, uśmiechnięty jak często bywało, i bardzo, bardzo szczęśliwy. I choć, tak bardzo zadowolony, życzył wszystkim tym, którzy pozostali po drugiej stronie, aby przebywali po niej, tyle, ile Najwyższy im wyznaczy, to marzył o chwili, kiedy ich tu powita. Był jednak z niego egoista!



A tymczasem Wilk przechadzał się już po Rajskich Łakach pod rękę z Wilczycą, młody jak kiedyś, uśmiechnięty jak często bywało i bardzo, bardzo szczęśliwy.

Rys. Kuba Sobieszczyk, lat 8

I pewnie trwałby tak w swoim odczuciu, gdyby ktoś nieopodal nie zawołał „Może byś jednak wstał, w końcu jest dziś trochę do zrobienia w domu, nie tylko wiecznie tkwienie przy laptopie !”. Wilk otworzył oczy i ujrzał i Wilczycę, i Kuleczkę, i wschodzące słońeczko, i poczuł wesoły wietrzyk, i zapach porannej wyśmienitej kawy, (wilk jest zwierzęciem nocnym, więc potrzebuje kawy do przebudzenia) ... Zrozumiał, że to był tylko sen, może w następstwie wczorajszej wizyty przyjaciół i długiej uczyty ? I pomyślał tylko jeszcze, jak cudne jest życie tu i teraz, a potem zabrał się z jeszcze większą werwą do normalnych, domowych porządków, teraz wydających się mu najwspanialszym na świecie zajęciem ... Ale czy na pewno sen ?

WIELKANOC; OSTATNIA BAJKA STAREGO WILKA

To piękne święto, piękne, ale czy dla nas? Wszak to święto końca, który może jest, a może nie jest początkiem ...

Tak rozmyślał stary zwierz, naznaczony mocno zębem czasu, nawet nie bardzo było wiadomo, czy to wilk, czy jakiś zdziczały pies. Leżał bezradny przy strumyku, po wilczemu rozmyślając a to o zdobyczy, która może niedługo się pojawi, a to o rozkoszach stołu suto zastawionego na świąteczną ucztę ...

Biedny wilk ! Minęło wiele lat, a te zmałyły mu nawet umysł. Wilk nawet za młodu, tym bardziej jako szanowany Stary Wilk, a co dopiero teraz nie chwycił nikogo w swoje wilcze szpony, nie brał go na kły. Było tajemnicą leśnych głuszy, że Wilk od dawna wzbudzał tylko żal i litość młodszych pokoleń. Kiedyś więc, nie chcąc być przedmiotem drwin, gdy wszyscy go opuścili, rodzina i przyjaciele odchodząc do Krainy Wilczych Łowów, zniecierpliwiony Wilk ruszył przed siebie i zamieszkał w tak mrocznych ostępach, że nie tylko znaleźć ich nie można, ale nawet szukać strach !

Nie było więc zdobyczy, za smakołyki służyły liście dębu, gałązki świerku, szyszki sosnowe, niekiedy jakaś padlina. Wilk jednak coraz mniej zważał na to, co i czy jadł, poświęcając swój czas rozmyślaniom o przeszłości. A było o czym ...

Nie to jednak naprawdę Wilka trapiło. Po latach Wilk – filozof stwierdził, że nie miał wielu zawistnych, ot co najwyżej co trzeci zwierz zazdrosny o jego charyzmę lub bojący się jego słynnych ataków złościwości przecież takiej na pokaz, dość, iż nie to było jego nieszczęściem. Przebaczył zawistnikom, pogodził się z niedostatkiem, ale największego wroga nie był w stanie zwalczyć. I teraz często spoglądał na tego złośliwego gnoma, nieubłaganego mordercę – CZAS.

Wilk siedział z jednej strony Potoka, Czas – z drugiej.



Wilk siedział z jednej strony Potoka ...

Rys. Julia Wołoszyk, lat 13

I Wilk nagle zawył długo i smutnie, i po raz pierwszy nie wytrzymując w Jego obliczu rozpoczął swój monolog:

„Czasie, zabrałeś mi wszystko niemal. Kiedy byłem małym chłopcem, marzyłem o pokonaniu smoka. Zabrałeś mi to marzenie i boleśnie pchnąłeś w dorosłość.

Kiedy odkrywałem najpiękniejsze kształty świata, cudowne samice - marzyłem, zatrzymać po wieczne czasy ich zapach, kształty, widoki, ale pewnego dnia powiedziałaś – to już nie dla ciebie. Ta rana krwawi do dziś.

Gdy stałem się dorosły, marzyłem o cudownej miłości. Przyszła, ale nie wspomniałaś wtedy, że nic nie trwa wiecznie i jak złodziej ukradłeś mi ją. Znienawidziłem cię za to.

Kiedy zestarzałem się i zapragnąłem tylko przyjaźni, przyszedłeś i zniecka zniknęli jedno po drugim wszyscy moje przyjaciele i przyjaciółki, a drudzy przestali nimi być.

Każdy marzy o długowieczności. Zohydziłeś i to moje marzenie usuwając z mego świata wilczycę i tych, których kochałem.

Czasie, nie mam już niczego prócz wspomnień. Zabierz mi i to, uczyn mnie ostatnim nędzarzem”.

Wilki nie płaczą, więc i ten skłonił jedynie głowę, potem położył się i zasnął ciężkim snem. A Czas trwał nieruchomo, aż wreszcie poruszony po raz pierwszy w swym nieskończonym bycie zdecydował się ostatecznie, uznając mądrość Starego Wilka.

I w tej jednej chwili dusza uleciała z wilczego ciała i podążyła do oczekujących ją lub nie innych duszyczek. Tak skończył się żywot Starego Wilka, dziwnego zwierzęcia, które tworzyło życie w formie bajek dla dorosłych, aż do tej ostatniej, bo wszystko ma swój kres, dopóki ktoś odważny nie pokona bezlitosnego Czasu ...

POŻEGNANIE Z BAJKAMI, NIE TAKIE BARDZO SMUTNE, CHOĆ NIECO MELANCHOLIJNE

Jeżeli dotarliście już tutaj, choć przecież nie było to wcale łatwe, znacie już zawartość książki pokazującej panoramę Wielkiego Lasu z położonym na jego skraju Wilczym Borem, Czarnym Potokiem i Jeziorem Rusałek, a także jego mieszkańcami – ludźmi zamieszkującymi niewielką wieś, przysiółek zaledwie, wilczej gromady, niedźwiedzi, żubrów, niezliczonego ptactwa i wielu innych nawet mocno egzotycznych stworów. Poznaliście kilka zaledwie opowieści z ich życia. Pojawili się Stary Wilk i Wilczyca, para swarząca się przy lada okazji, a przecież ciężko przeżywająca nawet te rzadkie chwile rozstania, gdy on ruszał na grzybobranie, czy też penetrował, stary obieżyświat, nieprzebyte zakątki leśnych ostępów. Przemknęli przez te karty ich najbliżsi przyjaciele: Lis i Lisica, Czapla i Żuraw, Sowa i Puchacz, Wiewiórka i Borsuk. Rzuciliście okiem na baśniowe stwory, nie do końca zmyślane: dzielnych siedmiu krasnali – Pracusia i Psotka, Roztropka i Nieśmiałka, Ochotka, Śmieszka i Leniwka, a także Królownę Śnieżkę, ich dobrą Panią. Przelane na papier zostały losy rusałki zamienionej w syrenkę, którą brzydki wilkołak nauczył odwagi, dającej jej później zaszczytne miejsce na dworze Królowej Elfów. Znalazło się miejsce na bajeczkę o kameleonie, który zmieniał barwę pod wpływem uczuć, jakie odczuwał ze strony mieszkańców Wielkiego Lasu, co zupełnie im się nie spodobało, bo któż chce, aby widziano jak na dłoni jego brzydkie myśli? Przywędrowała także na te strony dziewczynka z zapalkami, próbująca bezskutecznie przekonać ludzi, że kamień i hubka są o wiele gorsze: nie lubimy jednak słuchać kogoś innego poza sobą. Poznaliście prawdziwą bajkę o groźnym wilku i Czerwonym Kapturku, który płochliwej natury, nie chciał dać przekonać się, że pożarcie przez wilka nie musi być takie niemiłe. W opowiastkach z Wilczego Lasu znalazła się też ta o dwojgu młodych z ludzkiego rodu, którym tak bardzo powiodło się w życiu dzięki ich zgodności i miłości, a może i pewnej brzydkiej ropuszcze.

Tak właśnie powstała ta książeczka, spis tych wszystkich opowieści, które powstały w świecie będącym mieszaniną Realu i Wirtualu, tej

nierozłącznej pary. Czas jednak najwyższy na skończenie tego, co jest wspomnieniem i fantazją zarazem, co jest naiwne, ale może i wzruszające, co wreszcie może wywołać wzruszenie ramion, ale i, kto wie, bardziej ciepłą reakcję... Do zobaczenia, przyjaciele z Wielkiego Lasu!

No, i jeszcze jedno na koniec – oczywiście jakiegokolwiek podobieństwo między bohaterami bajek a ludźmi z naszego świata jest czysto przypadkowe, w każdym razie mój przyjaciel PRZYPADEK jest tego absolutnie pewien...

Czas wreszcie skończyć to, na co niewielu czeka, co było pisane dla siebie i nielicznych. Jestem pracowity, dlatego wybrał mnie spośród wielu nasz miłosierny Szef, więc uzupełniłem to, czego jeszcze brakowało, napisałem pięknie na brzoźowej korze, oparłem w dębowe okładki i powstała w ten sposób księga opisująca dzieje dziwnego zakątka tej ziemi i jej mieszkańców. Szczerze dziękuję tym, dzięki którym rodziły się te opowiadania i ujrzały swego czasu światło dzienne, a także ich pociechom, jakże pięknie ilustrującym świat dla nich zaczarowany. To słowa adresowane przede wszystkim do mojej Żony Ewy i naszych Przyjaciół – Ani i Jacka Jaszowskich, Henia i Marylki Wojtaszewskich, Mity i Jurka Kaźmierczaków, Bożenki i Zbyszka Gotartowskich; wielokrotnie odnajdą siebie w tych bajkach. Nie tylko jednak oni; są opowiadania poświęcone wielu miłym i bliskim współpracownikom płci obojga, głównie z katedry, ale także spoza niej – ale nie powiem, komu i gdzie, niech znajdują siebie sami! Wreszcie nie ośmieliłbym się pierwszy wydać tego, co w głębi duszy uważałem za nieporadne pisanie, gdyby nie inicjatywa i prezent dla mnie w formie pierwszego wydania bajek – tak lubianej przez wszystkich, przedwcześnie odeszłej Sylwii Sobieszczyk, prodziekan Wydziału Mechanicznego; Basi Zaleskiej, kierownik Działu Zarządzania Jakością oraz dwóch przemiłych Agnieszek i Marty z tegoż działu; Oli Szafran, kierownik Działu Projektów Europejskich i Jej wspaniałego zespołu; Krysi Daggi, kierownik Działu Zasobów Archiwalnych i Jej współpracowników. Pozwólcie, że zakończę to moje pisanie wierszem napisanym na tę okoliczność przez (de domo) Kamilę Łękawską, na co dzień zajętej projektami, a od święta poezją ...

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami
stał sobie zamek z laboratoriami.
A co się w ich wnętrzach odbywało,
wszystkich w królestwie zadziwiało.

Za murami tego wielkiego zamczyska
działy się mroczne i niezwykle zjawiska.
Otóż, z półproduktów naturalnych
wytwarzano tu ludzi świątłych i genialnych.

Zamek ten rządzony był przez króla i jego doradców
czterech głównych dziedzin władców.
Chcieli oni rozwoju, mieli też jakości żądze
skąd tu jednak wziąć na to wszystko pieniądze?

Stworzył więc król cztery potężne działy,
co by to wszystko jakoś spinały.
Pierwszy miał zadbać by wszystko w zamku sprawnie działało
i znak jakości w stolicy dostało.

Drugi natomiast by sprostać rozwoju racji
pieniądze miał wyciągać ze skarbcza wielkiej konfederacji.
Trzeci, by dbał o dobre z obcymi relacje,
Czwarty zaś, by archiwizował wszystkie królestwa publikacje.

Jednak zadania tak wielkiej wagi,
nie mogły być wykonywane bez niczyjej uwagi.
Przydzielono więc do tego zadania najdzielniejszego doradcę
- mechaniki i alchemii znawcę.

Podszedł on do swych obowiązków niezwykle bojowo:
„żadna z tych Pań nie będzie królową!
Walczyłem z korozją, pracowałem z nowymi technologiami,

poradzę więc sobie z kilkoma babami!”.

Te słowa ucieszyły sędziwego króla,
który w cyfrowy świat już wolał dać nura,
niż przejmować się takimi sprawami
jak tu pracować z samymi kobitami.

Strach blady padł na pracownice każdego działu
„co też się będzie teraz z nami działo?!”.
Najstrachliwsze i te „co coś za uszami miały”
w pośpiechu i z trwogą z zamku uciekały.

Te zaś które wierzyły w siłę swych racji
nie poddały się tej sprytniej manipulacji.
Wiedziały bowiem, że nowym szefem kierują wzniosłe intencje,
które wykroczyć miały poza jedną kadencję.

I choć surowym spoglądał na nie okiem,
nadażać chciały za jego myśli tokiem.
A każda z nich, która tę właśnie drogę wybrała,
sowitą nagrodę od losu dostała.

**Bo jak tu inaczej nazwać sytuację
gdy od przełożonego zawsze otrzymasz wsparcie!
Gdy o szefie w chwilach wielu,
myśleć możesz jak o przyjacielu,
który zamiast upatrywać wycisku –
w smutku czy radości - nie zapomni o uścisku.**

I tak przez lat cztery wspólnie pomysły jego realizowali śmiało
to wszystko na wielkiego króla i królestwa chwałę.
A gdy kadencji doradców nastał kres,
nie obeszło się bez smutku i łez.

Bo choć wszyscy dobrze wiedzieli,
że wszystko co dobre zawsze kiedyś się kończy
nikt nie przy puszczał, że ich los tak szybko rozłączy.

Ze smutkiem więc w sercach,
a w dowód wielkiej wdzięczności,
za to że współpraca Panem przysporzyła nam tyle radości
przygotowałyśmy ten prezent skromny,
by nie zapomniał o naszej historii żaden potomny.

I choć to dla nas wszystkich nowego rozdziału początek
zawsze Pan w naszych sercach zajmować będzie niemały zakątek! ☺